

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

NR 16 (1752) 19-25 kwietnia 2024
CENA 7,90 zł w tym 8% VAT

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



**Prezes
kaczyńskiej reduty**
str. 6-7

Z zawodu katolik
str. 12



PERMANENTNA INWIGILACJA



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

 Tygodnik NIE

 Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

◆ Sejm przystąpił do długo oczekiwanej debaty aborcyjnej. Wszystkie cztery projekty trafiły do dalszych prac, co można uznać za pewien postęp cywilizacyjny, choć debata nadmier- nie cywilizowana nie była. Nie obeszło się bez nieodzownego argumentu z gatunku *reductio ad Hitlerum*, po który sięgnął poseł Konfederacji o staropolskim nazwisku Fritz: „Lobby abor- cyjne, domagając się szerokiego dostępu do zabijania poczę- tych dzieci, czerpie obficie z dokonania Adolfa Hitlera, waszego wzoru prawdopodobnie” – ogłosił, dodając, że „Führer jako pierwszy wprowadził wolną aborcję dla Polek”, ale „za zabicie dziecka niemieckiego w Niemczech groziła kara śmierci”. Jeśli dobrze rozumiemy, poseł Fritz uważa, że Hitler był zły dla Pola- ków, ale dobry dla Niemców.

◆ Wśród innych złotych myśli z debaty postanowiliśmy wyróż- nić niezastąpioną Annę Marię Żukowską: „Dlaczego kobiety przerywają ciążę? Bo chcą”. Może jednak jest tak, że kobie- ty przerywają ciążę, bo nie chcą mieć dziecka, a nie dlatego, że chcą sobie zrobić aborcję? Naszym zdaniem, na rzecz tej pierwszej tezy przemawiał akompaniament, który debacie za- pewniła demonstracja antyaborcyjna pod sejmem. obrońcy życia przywieźli ze sobą dzwon o wdzięcznym imieniu „Głos nienarodzonych” z plakacikiem: „Uderz w dzwon! Niech poli- tycy usłyszą głos nienarodzonych” – ale także nagranie głosu narodzonych, które namiętnie puszczały z głośników. Ciekawe, kto wpadł na to, że świdrujący wrzask bachora może być ar- gumentem przeciwko aborcji?

◆ Prezydent Duda polecał do Ameryki. Wizyty w Białym Domu nie miał w planach, ale za to umówił się z Trumpem na kolację. „New York Times” donosił powściągliwie: „Donald J. Trump planuje w tym tygodniu spotkać się z prawicowym prezydentem Polski w ramach serii prywatnych interakcji z przywódcami lub emisariuszami z krajów od Zatoki Perskiej po Europę Wschodnią, z których wielu łączy powinowactwo z jego typem polityki”. W Polsce „Gazeta Wyborcza” była znacznie bardziej przejęta: „Spotkanie Dudy z Trumpem będzie policzkiem dla administracji Joe Bidena” – wieścił Bartosz T. Wieliński. Nawet przy założeniu, że Biden: a) wie, że Andrzej Duda jest prezydentem Polski; b) pamięta, że istnieje taki kraj, jak Polska, spoliczkowanie prezydenta USA nie jest takie łatwe.

◆ Romantyczna kolacja z Dudą została zaplanowana na środę, czyli jeden dzień w tygodniu, który Trump miał wolny od sądu. Były – i niewykluczone, że przysły – lider wolnego świata najbliższe miesiące spędzi bowiem w sądzie na Manhattanie, jako oskarżony o to, że przed wyborami zapłacił swojej bylej kochance, gwiazdzie porno, za milczenie 130 tys. dolarów i ukrył ten wydatek jako koszty obsługi prawnej. Co zdaniem prokuratorów było przejawem „fałszowania dokumentacji biz- nesowej”, a także próbą „wywarcia bezprawnego wpływu” na wynik wyborów z 2016 r. W tygodniku „Sieci” europoseł PiS Ryszard Czarnecki zachęca: „Polacy, idźmy z Trumpem!”. Najlepiej do łóżka – można za to dostać 130 tys. dolarów.

◆ Tomasz Siemoniak ma „szokujące informacje na temat tego, w jaki sposób wykorzystywano na cele prywatne fundusz jed- nej ze służb”. Minister Siemoniak „nie chce mówić”, jaka była skala tych nadużyć, ale może powiedzieć, że „bardzo go to zbulwersowało, więc zakłada, że innych też zbulwersuje” i gdy już „będzie można podzielić się z opinią publiczną”, to zrobi to z radością, choć to „nie tylko chodzi o taką chwilę satysfak- cji w mediach, że się ujawni coś, co jest wstrząsające”. Sie- moniaka przebił Bodnar, który się nie certolił – ogłosił, że PiS podsłuchiwał Pegasusem 578 osób i swoją chwilę satysfakcji w mediach przeżywał z Moniką Olejnik. A do tego jeszcze Pro- kuratura Krajowa dorzuciła info, że ziołbrysta Ostrowski kazał po siebie przyjeżdżać samochodem służbowym z kierowcą do Jeleniej Góry i tak wyjeździł ćwierć miliona złotych. Dobrze, że poprzednia władza była tak beczelnie zachłanna, bo inaczej czym ekscytowałyaby obywatele nowa?

◆ Sejmowa komisja ds. afery wizowej wezwwała Mariusza Ka- mińskiego na czwartkowy poranek. Dokładnie tego samego dnia i o tej samej porze jego obecności zażądała prokuratura, która planuje przesłuchać Kamińskiego i Wąsika jako podej- rzanych o głosowanie w sejmie po tym, jak sąd orzekł wobec nich zakaz pełnienia funkcji publicznych. Pomysł włączenia prokuratury w spór prawny dotyczący *de facto* jurysdykcji poszczególnych izb Sądu Najwyższego w kwestii odwołania od postanowienia o wygaszeniu mandatu, wydaje się cokol- wiek kozackim sposobem na posunięcie sprawy do przodu. Kozactwo wykazał też szef komisji śledczej poseł Szczerba, który orzekł, że „terminu nie zmienię”, bo choć „najwyraźniej pan Kamiński jest rozchwytywany”, ale „zawsze można do- prowadzić do kompromisu”. Z kompromisem, czy bez – Ma- riusz Kamiński jest tylko jeden (chwała nieistniejącemu) i nie posiada daru bilokacji. O ile nam wiadomo.

◆ Organy prasowe Prawa i Sprawiedliwości toczą między sobą spór o to, czy Jarosław Kaczyński wygrał wybory sa- morządowe. „PiS trzyma się mocno” – donosi w tygodniku „Sieci” jego naczelny Michał Karnowski, a Stanisław Janecki wtóruje tekstem zatytułowanym „Wyprostowani i gotowi”. Z kolei naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki głosi, że „jesz- cze kilka takich zwycięstw i PiS nie będzie”. „Kłeska PiS po- lega na kłesce strategii, którą PiS stosował przez ostatnie miesiące” – zgadza się Rafał Ziemiakiewicz. Najciekawszą opinię w tej sprawie wygłosił inny pisowski ośrodek poza- nowogrodzki: szef kancelarii prezydenta Marcin Mastalerek. Liderzy PiS są, jego zdaniem, jak bohaterowie piosenki Ry- nkowski: „za młodzi na sen, za starzy na grzech” i „dopóki nie wyciągną wniosków, będą wygrywać tak jak teraz, czyli bez konsekwencji”. I za to wypijmy.

AWŁ

Z URNY URBANA

Funkcjonariusze Kościoła kat. w ostatnich czasach znaleźli się na cenzurowanym. Za pedofilię, chciwość, obłudę, obskurantyzm, cwaniactwo, nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu, rozpustę wszela- ką etc., etc. Dołożmy do tego głos Urbana z marca 2008 r.

Dupkom o dupkach

Gdyby największe polskie przedsiębiorstwo – Kościół kat. – wchodziło teraz na giełdę, odradzałbym kupowanie akcji. Złe stoją. Firmę rozłamuje sekta toruńska i zbuntowani z róż- nych powodów księża pokazujący hierarchom środkowy palec. Jak podał wielkanocny „Prze- gląd”, relacjonując badania Sławomira Wiatra, pobożny lud jest zdania, że politycy i duchowni to dwa rodzaje przepłacanych pracowników. Wyraża się w tym niechęć do kleru. Objawy słabnięcia boskiej spółki oglądamy w telewi- zorach demaskujących to pedofilię, to dawną agenturalność wielebnych, to wiecie antysemit- kie w kościołach obciążające kastę kapłańską. Obsuwa Kościoła, zamiast mnie cieszyć, budzi mieszane uczucia. Gdy np. TVN z najwyższym szacunkiem i boleścią dokłada klechom, wów- czas jedna pobożna obłuda wojuje z drugą. Ro- zum radzi dekwatować się na tyłach.

W Polsce kler smagany jest głównie wypróbo- wanym w innych krajach batem – oskarżeniami o pedofilię. Ponieważ wierni bardziej kochają własnych synków niż syna Pana Boga, aferki te robią silne wrażenie. Nie powiem, przyjemnie jest z tej okazji oglądać na ekranie gniewnych hierarchów opędzających się od pytań, czemu kryją swoich podwładnych łasujących chłopię- ce pośladki. Oto oglądamy bowiem nadętych starców, którzy majestatycznie chodzą bocianim krokiem ubrani w swoje liturgiczne stroje robo- cze – sztywne kolorowe kartony z dziurą na głowie i w splecione czapy kucharzy z tandetną poźłotą. Jak gdyby urwali się z amatorskiego teatryku, który wystawia bajkę o złym cza- rowniku. Starców tych mających samopoczucie nadludzi charakteryzuje beżmyślna twarz bez mimiki – typowa morda leciwych dam po tu- zinie liftingów. Oblicza te są albo wysuszone, albo spulchnione, ale nigdy niczego nie wyrażają. Wyjątkiem niewinna minka abepe Życińskiego z Lublina, który jednak jak wąż wciąż wysuwa i chowa koniec języka. Chyba jest potomkiem

rajskiego kusiciela pramatki Ewy. Tego, który częstował ją zaledwie jabłkiem, bo nawet kieł- basy kobiecie pożałował.

Sprawia mi więc otóż przyjemność patrzeć na opresję władców sztucznego świata, w któ- rym obowiązuje psia zależność personelu od biskupa. Z drugiej strony szeroko rozlewająca się moda na tłuczenie kleru oznacza, że „NIE” traci ostatnią ze swoich specjalności i niczym już się nie wyróżni. Przy tym wojna z kastą ka- płańską ma dość płaskie preteksty. W czasach gdy wiarę podgryzać powinny osiągnięcia ge- netyki i astrofizyki, na religijną orientację Pola- ków realnie wpływa jakże przyziemna pedofilia niektórych księży.

Dlaczego akurat klechy częściej niż adwo- kaci, lekarze lub operatorzy koparek lubią seks z dziećmi? Obranie zawodu księdza katolic- kiego wymaga zobowiązania się do rezygnacji z życia płciowego, a jednocześnie do obsesyjne- go zajmowania się właśnie nim u innych ludzi. Katolicyzm mniema, że moralność człowieka ogniskuje się poniżej pasa lokując tu z przodu i z tyłu. Można więc zakładać, że do seminariów duchownych wstępuje więcej facetów mających kłopoty z własną seksualnością niż np. na stu- dia ekonomiczne.

Gotowy ksiądz, uprawiając seks, musi to taić, boi się kolegów i przełożonych, czuje się nie w porządku. Czy więc współżyje z kobietą lub mężczyzną, czy z owcą, kurą, dzieckiem albo tylko z własną prawicą, w każdym wypadku ma poczucie przekraczania norm. Skoro wy- stępkiem zawodowym jest każdy rodzaj seksu, to klesze jest już wszystko jedno, czy on czyni coś zakazanego tylko przez kodeks kanoniczny czy przez kodeks karny. Ksiądz nie ma więc tych hamulców, co wolny obywatel. Mężczyź- ni, dla których wiara jest zawodem, z powodu formalnych wymogów swej profesji i tak ciągle muszą się czuć winni. Zarazem seks bardziej ich nęci niż facetów innych zawodów zmusza-

nych przez prawo do małych ograniczeń, czyli do unikania tylko niektórych skłonności erotycznych, np. gwałtów, pedofilii, molestowania osób zależnych czy kazirodztwa. Dla księdza seks to zatem wysoki przedmiot pożądania, podobnie jak dla modelki golonka, a dla anonimowego alkoholika wódka. Księża przy tym dlatego bardzo kochają dzieci ponie- waż nie muszą znosić ich w swoim domu.

Jeśli pedofilia naprawdę jest szkodliwa dla małałotów to żeby ją likwidować rozgłaszać by trzeba w seminariach duchownych prawdę o dzieciach. I demonstrować, że są to istoty brudne, hałaśliwe, głupie, skryte, zawzięte, ego- istyczne, a przy tym nieporadne w ars amandi. Czyż księdzu nie byłoby przyjemniej upra- ważać się dozwolonym przez prawo pięknym opryszczonym ministrantem – szesnastolat- kiem? A nawet poczekać aż komisja maturalna sprawdzi jego umiejętności w wyliczaniu figur trójwymiarowych? Obowiązujący kler antyfe- minizm nie wyklucza też praktyk miłosnych z dziewczynami, w których doktrynalną pod- rzędność kobiety ksiądz mógłby praktykować.

Gdyby zamiast zakazywać pedofilii, pra- wo państwowe zabraniało wymuszania przez pracodawców na pracownikach abstynencji erotycznej, a więc głodu seksualnego (nakaz celibatu stanowi przecież obrazę praw czło- wieka i praw pracowników), znacznie wię- ciej chłopaków i dziewczynek siedziałoby w szkolnych ławkach na dziewczyczych, bo nie- pokalanych małych dupkach. Tak mniemam, będąc wolnym człowiekiem, nieskrępowanym żadnym tabu, religijnym w szczególności. Mo- gącym więc ostantacyjnie dymać, co zechcę lub cokolwiek popadnie. I przez tę swobodę zdol- nym do podniecenia się już wyłącznie na wid- dok obnażonych świńskich pośladek o han- dlowej nazwie szynka.

URBAN

TRYBUNA LUDZI

I co będzie, jeśli wygra Trump?

Facebook

Bartek Orzeł: To się dopiero zacznie „wolna amerykanka”.
Anna Maria Pantera: Nie jeśli, a kiedy. Bo wygra na pewno, ponie- waz większość obywateli USA to głupki.
Zbigniew Czarnecki: Nic się nie stanie, Polacy, nic się nie stanie.
Andrzej Telej: Będziemy nosić trumpki.
Beata Staszak: Otrzymam ostateczny dowód na to, że człowiek jako gatunek powinien wyginąć, gdyż nie zasługuje na to żeby zabie- rać miejsce innym stworzeniom na naszej pięknej planecie.
Piotr Łyszkowicz: Wojna będzie, przed wojna też był Trump.
Andrzej Bazylczuk: Nie będzie kabaretu. Będzie fort!
Maciej Dadej: Prezesowi skończy się lupież.
Kuba Grzyb: Biden będzie musiał zorganizować swój własny szturm na Kapitol.
Maciej Dadej: Duda będzie miał nowe zdjęcie.
Krzysztof Krzysztof: Rząd żywy się sam.
Maciej Dadej: Święty Boże nie pomoże, amen.
Mateusz Chmura: Koniec świata przestanie być świętem rucho- mym.
Radek Kr: Trzeba będzie przypomnieć sobie cyrylicę...

Forum

Tumidaj12: Będzie wojna atomowa Rosji, Chin i USA. A wszystko na terytorium Polski.

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Lodowiec** ma szansę zostać kandydatem w wyborach prezydenckich w Is- landii. Bagna Biebrzańskie godnie zastąpią Andrzeja Dudę.
- Ministerstwo Cyfryzacji żąda wyjaśnień od **Facebooka**, który ukrył posty Muzeum Auschwitz. To zemsta ruchu Body Positive.
- **Kapłani z Kielc** wygrali Mistrzostwa Polski Księży w Halowej Piłce Nożnej. Na kalendarz z kapłanami trzeba czekać do stycznia.
- W **TV Republika** aktywistka aborcyjna wzięła tabletkę mifepriston na wizji. Jak TV Republika zaprosi ją jeszcze parę razy, to potwierdzi teorię o cukierkach.
- **Oskar Szafarowicz** grozi, że pisanie o jego wargach może się źle skończyć. Chodzi o serię tekstów „Z poradnika waginoplastyka”.
- **Posłowie** napiszą nową definicję drzewa. Przypominamy, że w XXI wieku mieliśmy tworzyć ludzkie organy.

MARTA M.



rys. TOMASZ WIATER

Po projektach ustaw widać, że działacze Lewicy zaczęli masowo załapywać się na publiczne posadki.

Geniusze u Czarzastego zastanawiają się, jak doszło do tego, że głoszący naród nie dał się złapać na lep gadki o aborcji na życzenie, która skończyłaby się godzinami pyskówek. A jej efekt i tak zostałby uwalony przez Dudę. Może warto, żeby ktoś po lewej stronie puknął się wreszcie w głowę i pomyślał, dlaczego nie wykorzystano tych prospołecznych pomysłów z kampanii, których prezydentowi byłoby niewygodnie nie podpisać.

Przecież jeszcze pół roku temu lewica gardłowała, że „umowy cywilnoprawne będą wliczane do stażu i emerytury. Zaliczymy do stażu pracy okresy zatrudnienia na podstawie umów cywilnoprawnych. W obecnej sytuacji na rynku pracy jest to konieczność: inaczej całe pokolenie zatrudnione na umowy śmieciowe nie będzie miało prawa do emerytury”.

Przez parę miesięcy była szansa przygotować ustawę i setki tysięcy zadowolonych, potencjalnych wyborców, ale widać ważniejsze było uśmiechanie się przed kamerami i dokopywanie Hołowni aborcją.

Lewica przy władzy po raz kolejny zatem udowodniła, że polskiemu państwu nie chodzi o to, by ludzie pracowali w cywilizowanych i godnych warunkach. Państwo jest od tego, żeby z obywatela ściągnąć kasę.

Młot na bezrobocie

Od co najmniej ćwierć wieku premierzy i ministrowie co chwila zapowiadają ostateczne rozwiązanie kwestii umów-zleceń i umów o dzieło. Im więcej o tym mówią, tym bardziej przybywa osób zapieprzających bez etatu. 20 lat temu z umów o dzieło i umów-zleceń żyło sobie 300–400 tys. ludzi. Znakomitą większość z nich stanowili twórcy. Umowy-zlecenia hulały jedynie przy zatrudnianiu sprzątarek.

Co ciekawe, przez pierwsze lata kapitalizmu w Polsce do zatrudniania na śmieciówkach nie palili się inwestorzy zagraniczni. Była to dla nich niezrozumiała forma zatrudnienia, która w ich krajach nie występowała. Strach mijał im jednak już po kilku miesiącach. Polscy prawnicy udowadniali, że pracownik nie musi być pracownikiem, a Państwowa Inspekcja Pracy – że ma nieetatowców gdzieś.

W 2010 r. liczba osób utrzymujących się tylko z pracy na umowach cywilnoprawnych sięgnęła niemal 600 tys. Z najnowszych danych Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że w Polsce na podstawie umów-zleceń i umów pokrewnych pracę wykonuje ponad 2,26 mln osób.

Za komuny umowa-zlecenie służyła do tego, by pracownicy mogli sobie dorobić. Zasada była prosta: osiem godzin w firmie, a jak jest do zrobienia jakiś raport, opracowanie czy cokolwiek, czego nie można zaliczyć do standardowych obowiązków pracowniczych, to robi się to za dodatkową forszę z tytułu umowy-zlecenia.

Nieco inaczej traktowano wtedy umowę o dzieło. Ta była zastrzeżona dla wszelkiej maści twórców. Plastycy, pisarze, dziennikarze czy muzycy dostawali szmal za to, że coś zrobili.

W kapitalizmie te formy korzystania z cudzej pracy zdawały się być idealne. Bo to i elastyczność, i brak ZUS. No i mniejsze podatki. Wczesny polski kapitalizm korzystał zatem z umów cywilnoprawnych całymi garściami. Tyle że nikt nie przeginał. Pracownik zatrudniony był na etacie z jakimś niewyszukanym wynagrodzeniem. Niewyszukanym, bo od niego trzeba było płacić ubezpieczenie i podatek. Drugie tyle albo i więcej dostawał z tytułu umowy-zlecenia.

Składką go!

Po paru latach państwo się obudziło i ozusowało tę formę umowy. A na dodatek weszły takie przepisy, które zrównywały składki i podatki uzyskiwane z tytułu umowy-zlecenia ze składkami i podatkami z umowy o pracę w przypadku otrzymywania ich od tego samego pracodawcy. Powstał hamletowski dylemat: etat albo umowa-zlecenie. Większość firm rozwiązała go, znajdując trzecie wyjście. Kazano pracownikom zakładać własną działalność gospodarczą i pracować jak pracowali. Tyle że bez urlopów, zwolnień chorobowych i innych takich dyrdymałów. Przy okazji firmy zaoszczędziły na ZUS i podatkach, bo te płacili teraz sami zakontraktowani „niezależni przedsiębiorcy”.

Po kolejnych paru latach ZUS zaczął zbyt mocno oskładkowywać „niezależnych przedsiębiorców”. Samozatrudnienie w wielu przypadkach przestało się opłacać.

Skoro tak, to dlaczego firmy miały nie skorzystać z kolejnego polskiego wynalazku – umowy o dzieło. Pracodawcy wpadli więc na pomysł, by pracownicy byli kreatywni. Część wynagrodzenia dostawaliby z etatu, a większość – za bycie twórcami. I wcale nie chodzi o to, by każdy pracownik pisał poematy, czy muzykę do piosenek. Wystarczyło, gdy jako dzieło potraktowało się stworzenie faktury, zrobienie krzesła czy posadzenie tui w ogródku. Wszystko, co kiedyś było pracą na akord, z wolna stawało się dziełem. A to dlatego, że „twórcza” część wynagrodzeń

była zwolniona z 20, a nawet z 50 proc. podatku dochodowego. I miała w sobie zero ZUS-u.

Po jakimś czasie państwo i tu dokreśliło śrubę. Ustalono, że jak ktoś pracuje w jakiejś firmie, to jego umowa o dzieło z tej firmy ma być oskładkowana. Głównie oberwali tym mający etaty dziennikarze. Honoraria spadły, bo wydawca odciął sobie od nich szmal na składki ubezpieczeń społecznych. Dzięki temu dla dziennikarzy zdobycie etatu stało się równie prawdopodobne, co wygrana w totolotka. Zatrudnieni przy produkcji twórcy wszystkiego, czego się da, też stracili etaty. Od tej chwili zatrudniani byli wyłącznie na umowy o dzieło.

PIP zaczęła się czeplić i tego, udowadniając, że szycie kosztuje to nie twórczość. Pracodawcy zrobili kolejną kalkulację strat i zysków i wyszło im, że pora przeprosić się z umowami-zleceniami. Zwłaszcza że pojawił się miły przedsiębiorcom myk prawny. Jeśli ktoś miał kilka umów-zleceń, to nie trzeba opłacać składek ze wszystkich, a jedynie od pierwszego zlecenia. A skoro tak, to sporządzało się je na jakąś minimalną kwotę. Od pozostałych płacono tylko haracz na ubezpieczenie zdrowotne. Najważniejsza była jednak 20-procentowa bonifikata od PIT.

Gonienie śmieciówek

„Praca znajduje się pod ochroną Rzeczypospolitej Polskiej. Państwo sprawuje nadzór nad warunkami wykonywania pracy” – to nie mem, tylko 24. artykuł Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. W ramach tego nadzoru i ochrony rządów Tuska pan Andrzej pracujący na hali przy tokarce nie był pracownikiem, tylko zleceniobiorcą, a pani Jola roznosząca zarcie i picie w restauracji nie świadczyła pracy, tylko wykonywała zlecenie.

Nie przysługiwało im minimalne wynagrodzenie za pracę, płatny urlop, dodatki za pracę w nocy

i wynagrodzenie za godziny nadliczbowe czy wynagrodzenie należne za czas przestoju, no i oczywiście ochrona przed zwolnieniem z pracy.

Tusk rzecz dostrzegł i powiedział, że „w 2014 r. rozpoczniemy prace nad zakończeniem niechlubnej ery »śmieciówek«. »Śmieciówki« to tak naprawdę praca odarta z godności, poczucia bezpieczeństwa na przyszłość. Rok 2014 musi być początkiem końca »śmieciówek«”.

W ramach przyodziewania w godność i poczucie bezpieczeństwa Tusk zamierzał ozusować wszystkie umowy-zlecenia, a nie tylko te pierwsze. De facto miało to spowodować, że ludzie żyjący z umów-zleceń będą zarabiali dużo mniej.

Tak ZUS, jak i pracodawcy szybko wybili rządowi ten pomysł, twierdząc, że zrobi się burdel, nad którym nikt nie zapanuje.

Nikt nie zająknął się nawet o tym, że problemu śmieciówek by nie było, gdyby PIP chciało się ruszyć inspektorów i zacząć respektować obowiązujące prawo. Ówczesna praktyka inspekcji pracy polegała na odwiedzinach w firmach i sprawdzaniu, czy etatowcy podpisują się na listach, każdy z nich ma swoją teczkę personalną i czy w miejscu pracy jest jasno i ciepło. Kontrolerów waliło, czy po biurach lub liniach produkcyjnych szwendają się osoby niebędące pracownikami w myśl prawa pracy. Bo co by było, gdyby okazało się, że zleceniobiorca lub twórca miał swoje stanowisko i godziny pracy? Ze w robocie był podporządkowany organizacyjnie i służbowo, a na dodatek pracował codziennie? I to za wynagrodzeniem?



Kodeks pracy dokładnie tak definiował przecież pracę na etacie. Jeśli więc osoba spełniająca te warunki była zleceniobiorcą, to zleceniodawcą był przestępca. Skoro tak, to PIP miała obowiązek ukarać go mandatem lub skierować wnioski o ukaranie do sądu. No i z obowiązku zmusić pracodawcę do zawarcia z taką osobą umowy o pracę, nie zapominając o poszczuciu na firmę ZUS-u, by ten ściągnął od pracodawcy zaległe ubezpieczenia.

Tęgo nie zrobiono ani za Tuska, ani gdy do władzy doszło PiS. W lipcu 2016 r. klepnięto jedynie ustawę wprowadzającą minimalną stawkę godzinową przy umowach-zleceniach. Od 1 stycznia 2017 r. wynosiła ona 13 zł brutto. W tym roku to już 27,70 zł/godz., a od lipca – nawet 28,10 zł/godz. Nadal oskładkowana jest jednak tylko część umów-zleceń. Najważniejsza jest oczywiście ta pierwsza. Ale czy będzie ozusowana, zależy od tego, kim jest zleceniobiorca. Inaczej rozlicza się ją, gdy jest zawarta z własnym pracownikiem, inaczej z emerytem, inaczej z kimś, kto ma mniej niż 26 lat, a jeszcze inaczej z kimś, kto nie jest nigdzie zatrudniony. Burdel jest więc przeokrutny. Najtańszą opcją jest zatrudnienie studenta lub ucznia na umowę-zlecenie, wtedy kosztem będzie wynagrodzenie brutto. Najdroższą opcją dla pracodawcy jest zatrudnienie osoby, która nie posiada innej umowy i ma więcej niż 26 lat. Koszt pracownika jest dla pracodawcy wtedy taki sam, jakby zatrudniał go na etat. Ale wciąż bez płatnych nadgodzin, urlopu i innych takich.

O oskładkowaniu wszystkich umów zleceń Morawiecki mówił od co najmniej 2019 r. W Polskim Ładzie zapisano, że wszystkie umowy zlecenia mają być ozusowane od 1 stycznia 2025 r.

O umowach o dzieło PiS nie mówiło nic.

Zapomniało im się

Ale lewica wręcz przeciwnie. W 2021 r. złożyła w sejmie projekt ustawy mający zapewnić prawo do emerytury minimalnej osobom pracującym w oparciu o umowy cywilnoprawne. Proponowano uznanie zatrudnienia na nieoskładkowanych umowach śmieciowych za lata składkowe. Chodziło o to, że na emeryturę trafiali ludzie, którzy pracując wiele lat na śmieciówkach bez składek na ZUS, nie mieli stażu składkowego uprawniającego ich do choćby minimalnej emerytury. Setki tysięcy osób, które całe życie pracowały, odprowadzały podatki i nigdy nie korzystały z zasiłków dla bezrobotnych, dostawały miesięcznie po 500–600 zł. Tylko dlatego, że miały pecha pracować w branżach, w których od ćwierć wieku nikt nikogo nie zatrudniał inaczej niż na umowę o dzieło. Pracodawcy artystów i dziennikarzy robią tak, bo państwo na wykorzystywanie ludzi udziela swego prawnego błogosławieństwa.

Projekt został przez PiS uwalony głównie dlatego, że nie był ich. Teraz lewica jest przy władzy, a Agnieszka Dziemianowicz-Bąk od miesiąca rządzi w resorcie pracy. I nawet szykuje ustawę, w której ma chodzić o to, żeby wliczać czas pracy spędzony na umowach-zleceniach i na samodzielnej działalności gospodarczej do... nie, nie do okresu składkowego bynajmniej. Ale do stażu pracy. Bo jak mówi w wywiadach minister: „To się przekłada potem na uprawnienia urlopowe, na dodatki stażowe, na nagrody stażowe i jest istotne w rozwoju dalszej kariery zawodowej”.

Czy ktoś pracujący w sektorze prywatnym słyszał kiedyś o stażu pracy? Nie, bo ten termin ma zastosowanie w sektorze publicznym, a i to głównie dla urzędników. To tam są odziedziczone historycznie miliony dodatków do wynagrodzeń za różne rzeczy, w tym za staż pracy.

Brak wliczania go przeszkadza wyłącznie pozatrudnianym teraz w budżetówce działaczom, którzy całe dotychczasowe życie zawodowe spędzili w światłych i postępowych organizacjach, gdzie działali – a jakże – w ramach umów śmieciowych. Wtedy im to nie przeszkadzało. Dziś, gdy stali się urzędnikami, bądź pracownikami sektora państwowego, gdzie dzięki stażowi można dostawać dużo więcej kasy, ta kwestia zaczęła dla ich portfeli mieć znaczenie.

A setki tysięcy ludzi, którzy z winy państwa kochającego śmieciówki, dziś dostają lub za chwilę będą dostawać 600 złotych emerytury? Czymże oni są wobec zatrudnianych na państwowym krewnych i znajomych lewicowego królika? Gdy będą potrzebni w wyborach, to znów się ich kupi jakąś wizją aborcji.

TADEUSZ JASIŃSKI

Pedofilobranie

Babcia z rejestru.

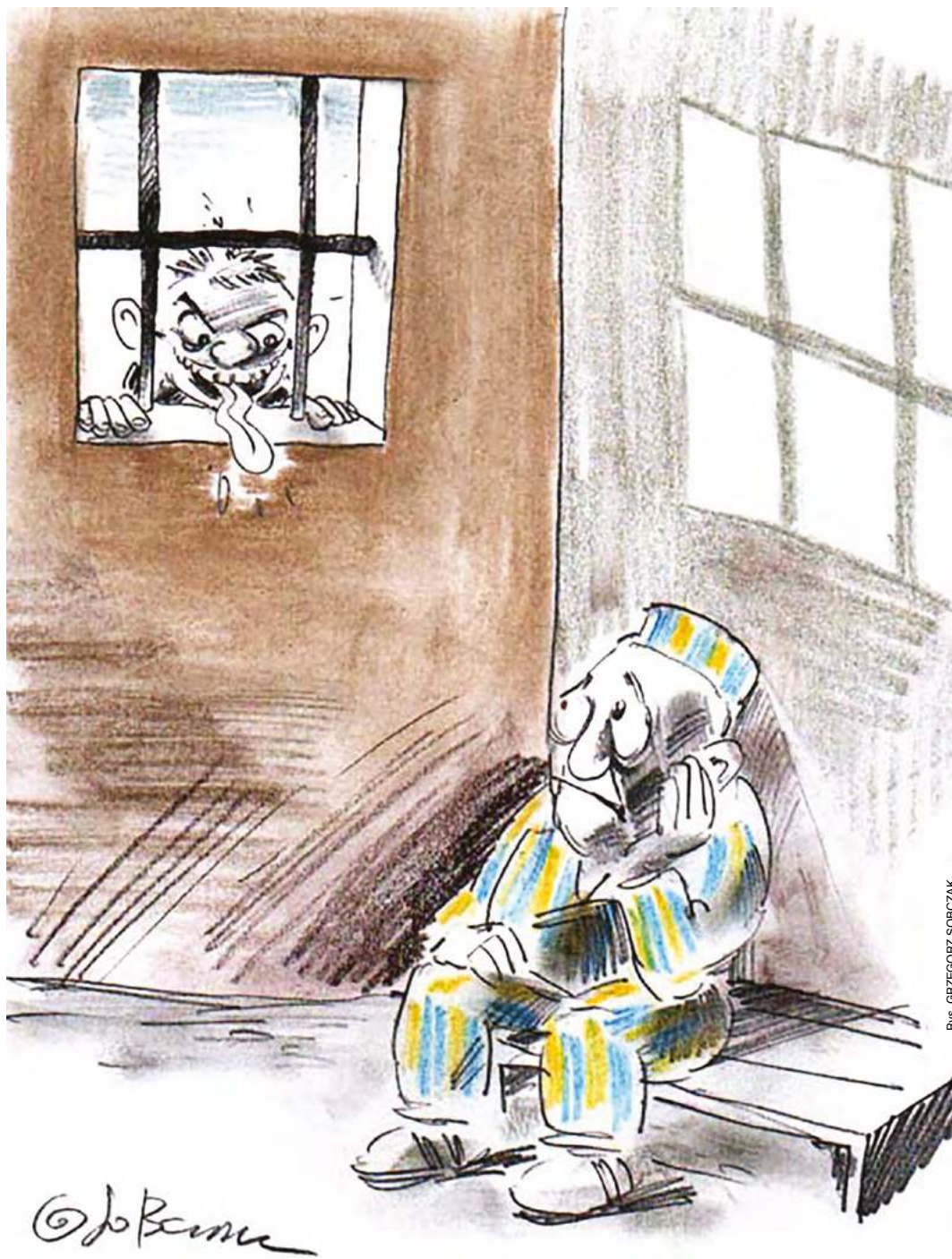
Flagowy projekt Koalicji Obywatelskiej „Aktywny Rodzic”, potocznie znany jako „babcio-we”, ma szansę wejść w życie jeszcze w tym roku. Ministra rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk w wywiadzie dla Radia Zet przeprowadzonym pod koniec marca ujawniła, że aby otrzymać świadczenie, należy zawrzeć jakiegoś rodzaju umowę z babcią, ciocią, wujkiem bądź dziadkiem, tak żeby zgłosić, kto konkretnie opiekuje się dzieckiem. „To nie jest tylko kwestia układu, tylko też informacja dla nas, czy dziecko jest powierzone bezpiecznej osobie. Chodzi o rejestr takich osób, np., żeby taka osoba nie była w rejestrze pedofilów. Musimy dmuchać na zimne i być niezwykle ostrożnymi” – zaznaczyła ministra. Wszyscy zesrali się jak na komendę, a najbardziej poseł Marcin Warchoń z Suwerennej Polski. „Jeśli rodzice chcą, by babcia pomagała w opiece nad ich dziećmi, muszą podpisać z nią umowę i sprawdzić w rejestrze pedofilów. Nie, to nie żart, to projekt Lewicy” – napisał w swoich social mediach Warchoń.

To dziwne, bo nowy obowiązek grzebania w rejestrach przestępców seksualnych w poszukiwaniu haków na wszystkich, którzy tylko znajdują się w pobliżu dziecka, nałożyła ustawa tego właśnie ugrupowania. Co więcej, zarówno wymóg ustawowy, jak i sam rejestr pedofilów są dziurawe jak kompetencje Suwerennej Polski.

Dura lex, sed lex

W sierpniu ubiegłego roku prezydent Andrzej Duda podpisał nowelizację Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego oraz innych ustaw – tzw. ustawę Kamilka autorstwa Suwerennej Polski. Zakłada ona m.in. co najmniej 10 godzin szkoleń co cztery lata dla sędziów rodzinnych, doregulowuje kwestie wysłuchania dziecka, wprowadza standardy jego ochrony i kary za uchylanie się od tego obowiązku oraz system monitorowania przypadków śmierci krzywdzonych dzieci.

Zgodnie z nowelą obowiązek wprowadzenia Standardów Ochrony Małoletnich (SOM) będzie miał każdy organ zarządzający placówką oświatową, opiekuńczą, wychowawczą, religijną, artystyczną, medyczną i sportową, do której uczęszczają albo w której przebywają kaszojady i nastolatki. Co więcej, ma to też dotyczyć podmiotów prowadzących usługi turystyczne oraz noclegowo-hotelarskie. Z projektu ustawy wynika, że nowe standardy mają być dopasowane do charakteru i rodzaju placówki, a w szczególności mają obejmować: zasady zapewniające bezpieczne relacje między małoletnim a personelem (z naciskiem na eliminację zachowań niedozwolonych wobec małoletnich); zasady i procedury podejmowania interwencji w sytuacji krzywdzenia lub posiadania informacji o krzywdzeniu małoletniego; procedury i osoby odpowiedzialne do skła-



dania zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa na szkodę małoletniego oraz zawiadomienia sądu opiekuńczego. Nadzrędnym zaś wymogiem jest sposób dokumentowania wypełniania obowiązku kontroli pracowników przed dopuszczeniem do pracy z gówniarzerią w zakresie spełniania przez nich warunków niekaralności za przestępstwa przeciwko wolności seksualnej i obyczajności. W praktyce oznacza to tyle, że dyrektor placówki przed nawiązaniem stosunku pracy lub dopuszczeniem do działalności związanej z wychowaniem, edukacją, wypoczynkiem bądź opieką nad dziećmi, będzie musiał sprawdzić, czy dana osoba widnieje w Krajowym Rejestrze Karnym oraz Rejestrze Przestępstw

na Tle Seksualnym pieszczotliwie zwanym rejestrze pedofilów.

I choć dyrektywy wobec opieki nad smrodami zdają się mieć uzasadnienie, trudno szukać logiki w obowiązujących przepisach, jak i w samym spisie dewiantów kochających dzieci inaczej.

Olanie ciepłym moczem zrewidowania przyszłego pracownika pod kątem skłonności do zakazanych figli może mieć przykre konsekwencje i podlega sankcjom: karze aresztu, ograniczenia wolności oraz grzywnie nie niższej niż 1 tys. zł. Ponadto – w razie ukarania pracodawcy lub organizatora działalności za dopuszczenie skazanego za przestępstwa na tle seksualnym do pracy z bachornią – sąd orzeknie również środek karny w postaci świadczenia pieniężnego na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej w wysokości nie przekraczającej 30 tys. zł. Problem w tym, że przez dziurawe prawo, mimo najlepszych nawet chęci, można wjechać się na minę.

Zbok importowany

Przepisy stanowią, że osoby które są obywatelami więcej niż jednego kraju Unii Europejskiej lub mają obywatelstwo Wielkiej Brytanii, są zobowiązane przedstawić zaświadczenie z jednego rejestru. Jeśli natomiast w grę wchodzi państwo trzecie lub kilka krajów, wymagane będzie przedstawienie wyciągu z rejestrów karnych każdego z nich. Ponadto osoby te będą musiały złożyć dokumenty zaświadczone o miejscach zamieszkania z okresu ostatnich 20 lat w państwie innym niż państwo obywatelstwa oraz przedstawić informację z rejestru karnego tego państwa. I w tym momencie zaczyna się impreza. Jeśli dane państwo nie prowadzi rejestru przestępstw na tle seksualnym, osoba zainteresowana pracą z dziećmi składa pod rygorem odpowiedzialności karnej oświadczenie, że nie była skazana za przestępstwa przeciwko wolności seksualnej i obyczajności. Krótko mówiąc, dyrektor placówki będzie musiał uwierzyć na mordę importowanemu kandydatowi do pracy, a to dlatego, że na stronie Ministerstwa Sprawiedliwości próżno szukać bazy, która pozwalałaby zweryfikować, czy dany kraj spoza UE i Zjednoczonego Królestwa taki rejestr pro-

wadzi, czy nie. Sama zaś karalność za złożenie fałszywego oświadczenia w tej kwestii dla człowieka ulepionego z żądy macanek z milusińskimi wydaje się być komiczna. W konsekwencji, gdy coś pójdzie nie tak – jeśli wypada pozwolić sobie na taki eufemizm względem znaczenia bądź prze-ruchania podopiecznego placówki sprawującej opiekę – to dyrektor zostanie przetrzepany pod kątem tego, czy starannie sprawdził kandydata. Kara za dopuszczenie do roboty kogoś, kto figuruje w spisie pedofilskim, oprócz wcześniej wspomnianych nieprzyjemności finansowych, oscyluje w widełkach od trzech miesięcy do pięciu lat pierdzenia w pasiak.

Kiepskie, bo polskie

Rodzimy Rejestr Przestępstw na Tle Seksualnym także przypomina legislacyjne dziecko absurdu i burdelu. W lutym bieżącego roku rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek zwrócił się do ministra sprawiedliwości Adama Bodnara z prośbą o interwencję i podjęcie prac legislacyjnych w celu usunięcia baboli z rejestru pedofilów. A tych jest bez liku i, co gorsza, od 2018 r. nikt nie kiwnął w ich sprawie czubkiem prącia.

W rejestrze nie są ujawniane dane nieletnich, którzy dopuścili się obcowania płciowego z małoletnim poniżej lat 15 lub dopuścili się wobec takiej osoby innej czynności seksualnej lub doprowadzili ją do poddania się takim czynnościom albo do ich wykonania. Jak zauważył RPO, uzasadnienie projektu ustawy nie wyjaśnia, jakimi motywami kierował się projektodawca. Można przypuszczać, że intencją było pozostawienie poza rejestrzem sytuacji, kiedy dwoje wyrostków poszło się zwyczajnie po ludzku i za obopólną zgodą gzić i zostało na tym przyłapanych. Niemniej, jak słusznie punktuje RPO, zakres takiego wyłączenia nie jest oczywisty. Dla podkreślenia legislacyjnych andronów przytacza Wiącek sprawę nastolatki, której dane umieszczono w rejestrze, choć tylko poprzestała na propozycji o charakterze seksualnym wobec o rok młodszego kolegi. Paradoksalnie, jeśli nastolatka doprowadziłaby do współżycia, jej dane nie znalazłby się zatem w spisie. A tak – pizda. Dla porządku obrad warto podkreślić, że dane nieletniego usuwa się z rejestru po 10 latach od ukończenia przezeń 18. roku życia. Tym samym

łatwiej zatrudnić osobę, która miała na koncie grzebanie w dziecięcych majtkach niż taką, której przez nieostrożność ledwie omsknęła się noga na paragrafie.

Rzecznik podniósł także problem wtórnej wiktymizacji ofiar przestępstw seksualnych, a także stygmatyzację rodzin oprawców, która stała się niezamierzonym skutkiem ujawnienia danych sprawy w rejestrze. Trafiają tam dane osoby prawomocnie skazanej za przestępstwa na tle seksualnym, a także osób, przeciwko którym w sprawach o takie przestępstwa prawomocnie warunkowo umorzono postępowanie karne lub orzeczono środki zabezpieczające. Orzeczenie o wyłączeniu umieszczania danych może zapaść wtedy, gdy spowodowałoby niewspółmiernie surowe skutki dla sprawy. Jeśli jednak osoba ta popełniła czyn na tyle poważny, że jej dane ujawniane są w rejestrze publicznym, odstąpienie od umieszczenia w tym rejestrze może również nastąpić, gdy zachodzi wyjątkowy przypadek uzasadniony wyłącznie dobrem małoletniego pokrzywdzonego z uwagi np. na jego związki rodzinne ze sprawcą. Nie taki więc rejestr skrupulatny, jakim go malują.

Wiele wskazuje zatem na to, że w świetle nowych przepisów prawa ręce będą pocić się nie łasym na wdzięki niewinnych dzieciątek zbokom, a tym, którzy chcą stworzyć smarkaczom bezpieczną przystań. Taki obrót spraw można tylko nazwać dalece niefortunnym.

IDALIA DUBICKA

Urban idzie po nas

Spektakl „URBAN. Idę po was...” trafia na afisz Teatru Łąnia Nowa w Krakowie 19 kwietnia. Autorem tekstu, który powstał na podstawie książki Doroty Karaś i Marka Sterlingowa „Urban. Biografia” (wyd. Znak, 2023) jest Piotr Rowicki, a spektakl wyreżyserował Bartosz Szydłowski.

– To nie tyle opowieść o samym Urbanie, co o tym, co ten Urban z nami zrobił i w jaki sposób wpłynął na Polskę. Przez wiele lat potrafił skutecznie nakłuwać nasze moralne wzmocnienia i śmiać się ze wszystkiego i wszystkich. Dla niego nie było świętości, bo w żadną świętość nie wierzył – mówi Bartosz Szydłowski.

– Na wieść o tym, że tworzymy spektakl „Urban. Idę po was...” natychmiast pojawili się „zyciwi” internauci, którzy oznajmili, że przyklei się do mnie gęba Urbana – mówi Adam Ferency, który w spektaklu wcielił się w rolę Jerzego Urbana. – Ich zdaniem pamięć o Urbanie powinna zniknąć z powierzchni ziemi.

Ferency uważa, że w Polsce wciąż są tacy, którzy chcieliby wycinać kogoś z historii, a Jerzy Urban jest właśnie jedną z takich postaci. Tymczasem – uważa aktor – nie da się zrozumieć człowieka w oderwaniu od czasów, w których żył i działał. – Fakt, że niektórzy politycy, ale też ludzie tzw. kultury chcą manipulować zbiorową pamięcią do osiągnięcia swoich własnych celów, powoduje, że nie jesteśmy w stanie w Polsce przerobić i doprowadzić do końca żadnej ważnej sprawy. Chciałbym, żeby wiadomość o tym, że Urban idzie po nas, publiczność potraktowała nie tylko jako zaproszenie, ale również jako memento – konkluduje Adam Ferency.

Pierwszy cykl spektakli odbywa się w dniach 19–22 kwietnia, kolejny – w dniach 9–12 maja. Informacje na temat spektaklu i dostępności biletów na stronie internetowej laznianowa.pl.



Fot. MATEUSZ SKWARCZEK/MAT. PRASOWE

Jestem świadoma, że zaczynam brzmieć lekko obsesyjnie – ale znowu będę pisać o lewicy. Nic nie poradzę, „ciotka dobra rada” – jak drwiący nazywał mnie Urban – bierze górę. Towarzysze! Leczenie trypra zapaleniem płuc nie jest receptą na zdrowie.

Kobiety

Z burzliwych ponoć obrad zarządu Nowej Lewicy do mediów wypłynęła informacja, że Czarzasty z Biedroniem obiecali więcej nie kandydować na szefów partii. Chcący zachować anonimowość uczestnicy obrad nie byli pewni, czy naprawdę usłyszeli taką deklarację, czy też może tylko chcieli ją usłyszeć – Czarzasty szybko sprostował, że nic takiego nie powiedział, a w ogóle to partyjne wybory są jesienią 2026 r., więc po co teraz o tym gadać.

Wyjątkowo zgadzam się z Włodzimierzem Czarzastym. Rozmawianie o zmianie kierownictwa partii po wyborach europejskich i prezydenckich jest kompletnie bez sensu. Zmiana jest potrzebna tu i teraz.

W ramach ucieczki do przodu Nowa Lewica ogłosiła, że szefową sztabu w wyborach do europarlamentu zostaje ministrzyca ds. równości Katarzyna Kotula, a za komunikację będzie odpowiadać wiceministrzyca kultury Joanna Scheuring-Wielgus. Przekaz jest zatem oczywisty: ta kampania będzie „o” (to teraz taki modny idiom) aborcji. I może jeszcze trochę o Kościele i patriarchacie. W sumie jednak – o sprawach zamykających się w pojęciu „zagadnień światopoglądowych”. To słaby pomysł. Z kilku względów.

Najważniejszy jest taki, że to wyraźnie nie działa. Radykalna bojowość posłanek lewicy nie przyniosła jej głosów kobiet w wyborach samorządowych.

Walka lewicy o aborcję jest hałaśliwa, ale nie jest skuteczna. Hołownia nie wypierdolił, wbrew zaleceniu Żukowskiej, tylko wedle swojego uważania przeniósł debatę aborcyjną na czas po wyborach samorządowych.

Za cichą zgodą PO, która też nie widziała żadnego interesu w dawaniu lewicy pola do popisu w kampanii.

Analitycy są zresztą zgodni, że partia Tuska dość skutecznie przejęła postulaty aborcyjne: opowiada się, podobnie jak lewica, za legalnym przerywaniem ciąży do 12. tygodnia, a zrobić może w tej sprawie znacznie więcej. Toteż osoby, dla których aborcja jest kwestią kluczową, woła zagłosować na silniejszego. Widać to było w wynikach wyborów samorządowych: aborcja, kwestia adresowana przede wszystkim do elektoratu kobiecego, nie przyniosła lewicy jakiegś wyraźnej nadreprezentacji kobiet wśród wyborców. Lewicowi kandydaci dostali 6,3 proc. w ogóle; wśród kobiet – 7,5 proc., czyli niewiele więcej.

Mieszkania

Natomiast wyraźna była dominacja lewicy wśród młodych: jej kandydaci zdobyli 12,7 proc. głosów wyborców w wieku 18–29. Czyli dwa razy więcej niż w całej populacji. To, być może, powinno skłonić towarzyszy do zastanowienia się nad tym, co takiego mówią do młodych ludzi, czego nie mówi nikt inny.

Moim zdaniem – mówią o mieszkaniach.

Nowa strategia wyborcza lewicy.

Ciemno, coraz ciemniej



Kryzys mieszkaniowy, absurdalne ceny tyleż zakupu co wynajmu, są najważniejszym problemem ludzi wchodzących w dorosłość. Lewica – jako jedyna formacja na polskiej scenie politycznej – ma na to sensowną i sprawdzoną w wielu stolicach europejskich receptę: finansowane z budżetu państwa budownictwo samorządowe oferujące mieszkania na wynajem za niski czynsz i bez możliwości wykupu.

Twarzą tego programu jest wiceminister rozwoju i senator lewicy Krzysztof Kukucki, były wiceprezydent Włocławka, gdzie taki program działa i się sprawdza. Kukucki jest także liderem dogrywki w wyborach na prezydenta Włocławka (w pierwszej turze dostał 41,5 proc.; kontrkandydat z PO – niespełna 30). Dlaczego nie uczynić Kukuckiego drugą twarzą kampanii do PE? Tak, aby obie nogi programu wyborczego lewicy – prawa kobiet i mieszkania – były symbolicznie reprezentowane?

Odpowiedź jest niestety dość jasna: mimo że Kukucki jest człowiekiem NL, a przedtem SLD – jego formacja, w odróżnieniu od Razem, ma z tym programem wyraźny kłopot. W sferze teorii żarliwie go popiera – w praktyce ulega naciskom PO, która, jak zwykle, chce rozwiązywać problem mieszkaniowy pasąc deweloperów z budżetu państwa.

W tej sprawie jasne stanowisko ma

„Nie jestem zachwycona tym projektem” – wyznała ostatnio Anna Maria Żukowska, dodając, że po pisowskim kredycie na 2 proc. wzrost cen mieszkań nastąpił, ale teraz może będzie inaczej, bo „ten komponent drugi, czyli zgłoszony przez lewicę projekt ustawy o mieszkaniach na tani wynajem, zrównoważy ten wzrost”. Podobne zdyscyplinowanie – odnotowuję z przykrością – wykazuje sam Kukucki, ale on mówi chociaż tyle, że NL nie zgłasza za platformerskim projektem, jeśli w pakiecie nie znajdą się pieniądze na projekt lewicowy. Poza tym jest nadzieja, że zanim ustawa trafi pod obrady senatu, Kukucki przestanie być senatorem, bo zostanie prezydentem miasta, i nie będzie musiał wybierać między rozumem i posłuszeństwem.

Kraków

Ten rozróż – między wiernością własnemu programowi i uległością wobec hegemonu – uwidocznił się także w wyborach na prezydenta Krakowa, gdzie Nowa Lewica popiera kandydata PO Aleksandra Miszałskiego, a Razem – Łukasza Gibałę z lokalnej organizacji Kraków dla Mieszkańców.

Obydwaj – co należy odnotować – mają niepokojąco bliskie, głównie rodzinne, powiązania z lokalnym biznesem, ale Miszałski wydaje się znacznie bliższy deweloperom. Jeden z nich, Strabag, finansował marcowy Kongres Krakowskich Przedsiębiorców otwierany i firmowany przez Miszałskiego. Inny sfinansował czarny PR wymierzony w Gibałę: ulotki, plakaty, lipną gazetę, informującą, że kandydat niezależny jest właśnie „uwikłany, zadłużony, zależny”. Policja bada, czy materiały, nieopatrzonym logiem żadnego komitetu wyborczego, nie były złamaniem ordynacji wyborczej.

W debacie Interii kandydaci zapytani zostali o plan rozwiązywania problemów mieszkaniowych

Krakowian. Gibała wyraźnie mówił przekazem Razem, skupił się na mieszkaniach komunalnych; Miszałski nie omieszczał dodać, że będzie wspierał „budownictwo komercyjne”, choć „oczywiście z silną kontrolą prezydenta i rady miasta”. Patodeveloperka jest przez krakowian uważana za jeden z najważniejszych problemów miasta, więc istnieje supozycja, że twarda postawa Gibały wzbudzi więcej zaufania niż nieco wykrętne wypowiedzi Miszałskiego.

To oznaczałoby kolejny punkt dla Razem w walce o duszę lewicy w Polsce. Natomiast zwycięstwo kandydata PO nie będzie żadnym sukcesem Nowej Lewicy.

To coś, o czym towarzysze powinni pomyśleć, układając strategię na następne wybory.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Razem: nie zgłoszono za kredytem zero procent, słusznie mówiąc, że doprowadzi on wyłącznie do wzrostu cen mieszkań. Nowa Lewica dla odmiany zapowiada, że zgłoszono, ale nie będzie się cieszyła.

MÓZDZEK TYGODNIA

Gdyby po każdej politycznej głupocie, jaką zrobił Jacek Protasiewicz, tracił on jedną literę w nazwisku, to po ostatniej aferze musiałby się nazywać Pr.

Gdy jeszcze Pr nazywał się Pro, nadużył substancji psychoaktywnej, co zdarza się ludziom najprzystojniejszym, zwłaszcza w niedzielę. Ludzie przyzwoici nie powinni przepadać za pisowcami; ludziom przyzwoitym zdarza się ten brak sympatii okazywać w mediach społecznościowych, choćby na platformie X. Nic się nie stanie, jeśli człowiek przyzwoity na pisowca nawet nabluzga.

To wszystko zdarzyło się Jackowi Pro, którego premier Donald Tusk posunął za to że stanowiska drugiego wicewojewody dolnośląskiego.

Pół biedy, gdyby Pro przyjął dymisję z godnością każdego antypisowca. Ale wydarzyła się cała bieda, bo zaczął się mazać. Najpierw odpowiedział na decyzję premiera – oczywiście na platformie X: „Chyba lepiej, bo... Polska jest najważniejsza!”. A potem Pro pokazał całą swoją miękką rurę: „Każdy ma swoje problemy, także zdrowotne. Ja też. Moja aktywność w ostatnich dniach w internecie była tego przejawem. Przepraszam wszystkich, którzy moimi wpisami poczuli się obrażeni lub dotknięci”.

I stał się Jackiem Pr.



Numer 17-18 (podwójny) tygodnika „NIE” na majówkę ukaże się 26 kwietnia, a w nim m.in.:

- ✓ komiks **Ryszarda Dąbrowskiego**,
- ✓ fragmenty niepublikowanej powieści **Wojciecha Mittelstaedta** z grafikami **Tomasza Wiatera**.

Kolejny 19 numer tygodnika „NIE” trafi do sprzedaży 10 maja.

Ojczyzny ołtarze

Wznosimy pomniki polskiej kultury.

Zapewne jeszcze nie wiecie, ale „mamy do czynienia z degradacją polskiej demokracji, która przechodzi w autokratyzm, a w niektórych obszarach w stan bezprawnej dyktatury”. Bo przecież „ta władza już bije rolników” i zamienia opozycyjnych parlamentarzystów w „więźniów politycznych”. Co gorsza, nie cofa się przed innymi podłościami. Codziennie, krok po kroku „przejmuje – siłowo i bezprawnie – kolejne instytucje, w tym media publiczne, sądy, prokuraturę, instytucje kultury, atakuje Trybunał Konstytucyjny, Narodowy Bank Polski, Sąd Najwyższy, także urząd prezydenta RP”.

Niestety, społeczeństwo nie dostrzega jeszcze tej podłej, pełzającej dyktatury i „skoro sondaże im na razie nie spadają i skoro poparcie zagranicy dla tych działań jest tak ostentacyjne, to brną dalej”. W ten sposób ta władza „testuje wytrzymałość społeczną”.

Za niemieckie ruble

Zapewne jeszcze nie wiecie, że „teraz mamy sojusz postkomuny z pseudo liberałami, wspierany przez zagranicę”. Tę z Zachodu, jak i pośrednio przez Berlin, tę ze Wschodu. Sojusz ludzi wypranych z poczucia „suwerenności”, bo „ta władza przyjechała tu przecież nie na ruskich czołgach, jak kiedyś, ale na niemieckich pieniądzech”. A dla zagranicy wszystko jest lepsze niż polska „opcja suwerennościowa”. „W tle mamy duży kryzys społeczny i polityczny na Zachodzie, a jeszcze szerzej patrząc, wielki kryzys kultury globalnej”.

Niestety ślepe „społeczeństwo zachodnie powoli akceptują coraz większe ograniczenia wolności, zwłaszcza, że przeciętni ludzie nie mogą się publicznie wypowiadać. Nawet nominalni konserwatyści w Unii Europejskiej boją się walczyć o podstawowe sprawy. Widziałem to w czasie spotkań unijnych ministrów, gdzie często jako jedyny sprzeciwiałem się różnym szaleństwom. Reszta kiwała głowami, akceptując to, co zaproponowali urzędnicy KE” – tak żali się publicznie były minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński. Aktualny poseł opozycyjnej Zjednoczonej Prawicy.

Wiesz czy on teraz, że „pieniędzy na kulturę znowu nie będzie”. Że polską kulturą zawładnie wrożec „pani Holland”. A jego „najważniejszym celem aktywności na wielu obszarach sztuki jest wyjazd na zagraniczny festiwal, kariera zagraniczna, ewentualnie tworzenie warunków, które pozwolą zagranicznym twórcom tworzyć u nas”. Kariera za niemieckie ruble, rzecz jasna.

Już teraz pan były minister w polskiej kulturze dostrzega przede wszystkim „małpowanie tematów, które na Zachodzie wybrzmiały 20 lat temu. Naśladownictwo, wtórność, pustka”. Ze smutkiem zauważa, że „z pewnością łatwiej jest „fajnopolakami” niż wspierać ambitny program PiS. Suwerenność oznacza obojętność, często jest trudna”.

Dlatego opozycyjni dziś poseł Gliński jak najgłośniej trąbi, że „staniemy się krajem skolonizowanym na każdym poziomie. Zniknie Polska. Zniknie patriotyzm. Putin zaciera ręce”.

I jednocześnie Gliński buduje już swój pomnik: „Mnie – w ramach kreowania tej urojonej rzeczywistości – cały czas wmawiano ciągłoty cenzorskie, ale był to pusty zarzut. W istocie jedynie, co robiłem, to kierowałem strumieniem państwowych pienię-

ży w stronę, którą uważałem za słuszną, po to, by zrównoważyć ewidentne przechyły, by złamać pewne monopole”. Krzepi się, że za jego panowania „za dużo zbu-



dowaliśmy, oni nie są w stanie zniszczyć wszystkiego”. I będzie robił wszystko, by jego formacja znów wróciła do władzy. Ma przecież niekwestionowane 30 procent realnego wyborczego poparcia.

Gołodupcy замуrowani muzeami

To, co Piotr Gliński przez osiem lat jako minister kultury i dziedzictwa narodowego zawłaszczył dla swoich politycznych przyjaciół i partii zwanej Prawo i Sprawiedliwość, teraz nowy minister Bartłomiej Sienkiewicz odbija dla Koalicji Obywatelskiej i swoich przyjaciół politycznych. Wzbudzając tym gromką i radosną klakę wrogich Zjednoczonej Prawicy mediów. Jego działalność prezentowana jest przez te media często w formie komunikatów z wojennego frontu. Na zasadzie: Uwaga, uwaga! Dziś pan minister odwołał kolejnych dyrektorów instytutów i fundacji kultury mianowanych przez służbę minione, niedemokratyczne, antyeuropejskie rządy. Nastąpił kolejny odwrót kaczystów z kolej-

nych obszarów polskiej kultury. Na zdobytych terenach zostanie teraz przywrócona demokracja, swobody twórcze i proeuropejskość.

Zapewne już wiecie, że w czasie swych rządów pan minister kultury i dziedzictwa narodowego Gliński dokonał wielu szkodliwych dla polskiej kultury nominacji. Łamał i sprzyjał łamaniu prawa. Nie reagował wystarczająco skutecznie, kiedy dochodziło do zawłaszczania, czasem prymitywnych kradzieży publicznych pieniędzy w podległych mu instytucjach.

Autentyczne, największe swe sukcesy osiągnął jedynie w sektorze muzealnym. Za jego rządów to muzea rosły w siłę, a zatrudnieni tam kacyści opływali w dostatek.

Dlatego jego miejsce – co wielokrotnie postulowałem w czasie zeszłorocznej kampanii wybor-

czej – jest w muzeum albo innym skansenie. Bo pomimo wysokiego formalnie wykształcenia, profesor Gliński nie rozumiał albo nie chciał zrozumieć podstawowych problemów współczesnej kultury. W czasie swej ministerialnej kadencji powinien stworzyć nowoczesny system wynagradzania ludzi kultury i ich system emerytalny. Powinien zbudować nowoczesny system mediów publicznych, a przede wszystkim system ich finansowania. Przez cztery ostatnie lata był zobowiązany wprowadzić w życie unijne prawo nakazujące wielkim międzynarodowym korporacjom płacić honoraria polskim twórcom. Nie zrobił tego, choć miał większość w parlamencie i sprzyjającego mu prezydenta.

Na odchodne pan minister pozostawił Polskę замуrowaną muzeami, a polskich twórców ze statusem gołodupców. Bo pan minister Gliński miał i ma pełną gębę frazesów o polskiej suwerenności, ale zawsze srał w gacie, bojąc się wprowadzenia prawa naruszającego interesy finansowe wielkich korporacji medialnych.

Rewers awersu

Nowy pan minister Sienkiewicz dzielnie odbił media publiczne. I inne instytucje kultury z rąk kaczystów. Ale on i jego koalicja rządząca nadal nie przedstawiła projektu ustawy o finansowaniu mediów publicznych i ich reformy. Pytani o brak takiego projektu parlamentarzysty rządzącej koalicji tłumaczą się swym zapracowaniem i innymi priorytetami.

Jednym z nich jest od lat zaległa, wspomniana ustawa o honorariach dla polskich twórców od korporacji netfilipopodobnych. Co ciekawe, prace nad tym rozwiązaniem nowy minister zaczął dopiero po bezprecedensowym strajku środowisk filmowych i artystycznych. I nadal tego prawa, pomimo publicznych obietnic, jeszcze nie mamy. Czemu nowa proeuropejska koalicja nie śpieszy się, by wyusić na medialnych korporacjach powszechne już w Europie prawa? Czyżby też boi się gniewu globalnych baronów medialnych?

W zamian mamy wielce poważną publiczną obietnicę pana ministra Sienkiewicza. Rzekł on: „Grób Nieznanego Żołnierza to jedyny ołtarz ojczyzny, jaki mamy. I ten ołtarz ma po jednej stronie hotel z kasynem, a po drugiej wielki gmach, gdzie siedzą panowie i trzepią kasę. Chcę odbudować pałac Saski po to, żeby była dominanta otoczenia najświętszego miejsca w Polsce”. Tak to nowy minister wpisał się w plany i styl myślenia o kulturze swego poprzednika ministra Glińskiego.

Choć fachowiec, architekt Zygmunt Stepiński, syn projektanta obecnego Grobu Nieznanego Żołnierza, publicznie rzekł „Zgadza się z ministrem Sienkiewiczem, że plac Piłsudskiego trzeba uporządkować. Ale czy zapelniać go kopiami ruskiej, imperialnej architektury? Na Kremlu powinni bić brawo, bo rzadko się zdarza, że na najważniejszym placu w Polsce, przy najważniejszym pomniku upamiętniającym bohaterstwo naszych żołnierzy, odtwarzać carską architekturę. To po prostu śmieszne”.

Śmieszne i straszne.

Niestety, były i obecny minister kultury postrzegają ją przede wszystkim jako chwałębną przeszłość. Jako ołtarz ojczyzny. I może dlatego ważniejsze dla polskiej kultury są kolejne odbudowane pałace niż opodatkowanie globalnych koncernów na rzecz honorariów dla polskich twórców.

Poza tym łatwiej jest wydać publiczną kasę na kolejny ołtarz, niż iść na wojnę z korporacjami. W finale można się też sfotografować na tle ołtarza. Wygrana z korporacją takiej radochy medialnej już nie da.

PIOTR GADZINOWSKI

Jak dobrze pójdzie, to już wkrótce nazwisko Świrski będzie mówiło coś tylko historykom.

Maciej Świrski jest przewodniczącym Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Postawiło go tam PiS. Dzięki tej niefraobliwości, Tusk dostanie wkrótce na tacy głowę konstytucyjnego organu państwa. Świrski jest bowiem typowym przykładem pisowskiego BMW (bierny, mierny, ale wierny). W życiorysie chwali się, że na przełomie lat 80. i 90. zaczął prowadzić własną działalność gospodarczą, a od 1996 r. działał w branży teleinformatycznej i marketingowej, bo był specjalistą sprzedaży i właścicielem przedsiębiorstwa. Normalni biznesmeni działający wtedy na tej niwie porobili kasę pozwalającą im nic nie robić. Świrskiemu nie poszło. I to tak bardzo, że z biedy musiał przykleić się do PiS. Opłaciło się. Lata 2006–2009 pozwoliły mu się odkuć na państwowej posadce członka zarządu Polskiej Agencji Prasowej.

Naklejka Glińskiego

Gdy patronat polityczny zniknął wraz z pierwszym nastaniem Tuska, Świrski znowu był prowadzącym bloga nikim. Ale wiedział już, że prawdziwe konfitury są na styku polityki i biznesu. Orbitując wokół PiS, został więc zawodowym pieniaczem międzynarodowym.

Gdy Kaczyński wymyślił Glińskiego jako premiera, Świrski był pod ręką. Załapał się na rzecznika szefa rządu z tabletu. No i na stałą kasę z PiS. W 2013 r. miał z tego 24 tys. zł.

Za te – niewielkie však – pieniądze Świrski robił z Glińskim wywiady do internetu i prowadził jego konferencje na wzór posiedzeń rządu. Razem założyli też Stowarzyszenie Program dla Polski, które miało być eksperckim zapleczem PiS. Miało, bo jego działalność jakoś rozlała się po kościach.

I gdy zdawało się, że Świrski znowu nie będzie miał co robić, telewizja publiczna puściła trzy odcinki „Naszych matek, naszych ojców”. Prawica zawyla, bo akowcy w filmie swoim antysemityzmem nie ustępowali Niemcom. Świrski poczuł krew i powołał Redutę Dobrego Imienia, zarzucając media oraz prokuraturę doniesieniami o przestępstwie. Doniesienia umarzono masowo, ale szum medialny nimi wywołany okazał się politycznym i biznesowym strzałem w dziesiątkę.

Fundacja Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga przeciw Zniesławieniom (bo tak brzmiała pełna nazwa) zgodnie ze swoim statutem „działała na rzecz propagowania wiedzy na temat historii i kultury Polski oraz polskiej współczesności, podejmowała inicjatywy i działania służące

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Wojewódzki konserwator zabytków wpisał do rejestru zabytków nieruchomych województwa mazowieckiego żelbetowy zasobnik węglowy do nawęglania parowozów. Zasobnik stoi przy ul. Gniewkowskiej na Odolanach w Warszawie. Obiekt o wysokości 42 m i nośności 300 t oddano do użytku w 1951 r. i służył do 1974 r. Jest to najbrzydszy zabytek w rejestrze zabytków, co ma przyszłym pokoleniom przypominać, że brzydota jest w ogóle fundamentem naszej polskiej kultury.

■ Pooperacyjna pacjentka przebywająca na oddziale intensywnej opieki kardiologicznej Szpitala Dzieciątka Jezus przy ul. Lindleya w Warszawie, wobec niemożności przywołania personelu medycznego, użyła swojej komórki, aby zadzwonić na pogotowie. Dyspozytor numeru 112 skierował do szpitala zespół ratunkowy, który udzielił chorej stosownej pomocy. Następnego dnia zmarła. Rzecznik praw pacjenta Bartłomiej Chmielewicz zapowiedział, że wyjaśni sprawę, choćby miał chorą wskrze-

sić. Musi zająć stanowisko w kwestii, czy umarła, bo chciała, czy dlatego, że musiała.

■ Jeżeli chodzi o Kraków, rozpoczęła się tam wojna z systemem ucisku i wyzysku międzynarodówki bankowej. Na początek wysadzono w powietrze bankomat przy ul. Na Kozłowiec, tuż przy pasażu handlowym. Dobre i to. O ideowych przesłankach zamachu świadczy, że pieniądze nie ukradziono. Historyczne miejsce, w którym rozpoczęła się ta słusna rewolucja, zabezpieczone zostało przez policję. Bohaterów zamachu nie ujęto.

■ W Starachowicach też doszło do wybuchu, tylko nie wiadomo, co eksplodowało. Huknęło, że szyby zadrżały na osiedlach przy ulicach: Leśnej, 8 Maja, Piłsudskiego i Harcerskiej. Komenda Wojewódzka Policji w Kielcach i Komenda Państwowej Straży Pożarnej tamże, wraz z 10. Świętokrzyską Brygadą Obrony Terytorialnej nie mogą ustalić epicentrum eksplozji. Poszukują zatem tego huku, który jakby rozplynął się w powietrzu po omacku. Pytano się wojska, ale nie przyznaje się do autorstwa hałasu. Służby wywiadowcze indagowane w sprawie huku, czy nie pochodził z importu, siedzą cicho.

■ Kilka godzin na dystansie 30 km ścigali strażnicy leśni quadami grupę turystów poruszającą się również quadami – wyjął Mateusz Grębowski, Komendant Straży Leśnej z Nadleśnictwa Śnieżka w Sudetach. Wjazd do lasu pojazdem silnikowym jest zabroniony – wyjaśnił Grębowski, dodając, że każdy zmotoryzowany turysta

ukarany został 1000-złotowym mandatem. Uważamy, że zasadniczym powodem tego kretynskiego pościgu było to, że nie może być tak, aby prawo do dewastacji lasów quadami, które mają leśnicy, należeć mogło również do kogoś innego. Takie równouprawnienie deprecjonowałoby dumę i urgało prestiżowi tego arystokratycznego, proekologicznego zawodu.

■ Kobieta, która w odwecie za zakłócenie miru domowego przez toruńską policję kopnęła policjanta w krocze, ugryzła w ramię, oplotła i uderzyła w głowę, wyrokiem sądu ma zapłacić policjantowi 200 zł zadośćuczynienia oraz 400 zł nawiazki na cel społeczny. Zdaniem składu orzekającego wina i społeczna szkodliwość czynu były nieznaczące. My poszlibyśmy nawet dalej. W takich okolicznościach wręcz pomijalne. Gdyby nam przypadł honor sądu, skazalibyśmy policjanta.

■ Obywatelskie śledztwo wykazało, że najdłuższe paragony drukują w Biedronce. Przy zakupie tego samego produktu paragon Biedronki miał 28,5 cm długości, a Lidla – 19 cm. W Carrefourze – 13 cm, a w Zabce – 6 cm. Sklepy Biedronki obsługują 5 mln klientów każdego dnia, wydając tyleż paragonów dziennie. To oznacza, że Biedronka produkuje 142 500 000 cm, czyli 1425 km paragonów dziennie. To odległość między Episkopatem Polski w Warszawie a Watykanem. Nie należy też zapominać, że w 2024 r. dni handlowych jest 321, co jest liczbą wystarczającą, żeby wstąpić z paragonów z Biedronki sięgnęła z Ziemi do Księżyca.

Prezes kaczyńskiej reduty

rozwijaniu i umacnianiu postaw do aktywnego współdziałania w procesie rozwoju społeczeństwa obywatelskiego”. Naprawdę zaś robiła dym, gdy uważała, że ktoś za granicą zrobił lub powiedział coś niepochlebnego o Polsce. A nie daj Bóg – użył zwrotu „polskie obozy śmierci”.

Zdeptana polskość

Do Rady Fundacji weszli m.in. Piotr Gliński, Jan Pietrzak i Marcin Wołski. Świrski pełnił funkcję prezesa. Wyszukiwarki internetowe pracowników fundacji przegrzewały się, szukając „polskich obozów koncentracyjnych” we wszystkich językach. Ile razy coś znalazły, Reduta ogłaszała to na cały świat, zmuszając MSZ do działania. Nie znajdowała jednak wiele. Świrski poszerzył zatem obszar polowania. Na celownik wziął film nominowany podczas do Oskara – „Idę”. Gdy półtora roku wcześniej odbywała się jego premiera, nikomu jego wymowa aż tak nie przeszkadzała. Ale zanim Pawlikowski odebrał statuetkę, Świrski zdążył zakomunikować urbi et orbi, że to film antypolski.

Na dodatek zaś Świrski zaapelował, by film został opatrzony informacjami, że mimo kar śmierci za ukrywanie Żydów, tysiące Polaków ich ukrywało. Bo jak takich napisów nie będzie, to zagraniczni widzowie mogą mieć „fałszywe przeświadczenie o tym, że sprawcami Holocaustu są Polacy”. Wszak „widz, zwłaszcza nieznający historii Europy, wynosi z filmu przekonanie, że to Polacy wymordowali europejskich Żydów i zrabowali ich majątek”. Apel do dystrybutora filmu podpisali też członkowie rady fundacji. Z Glińskim na czele.

Granica obciachu została przekroczone. Od tej pory obraz polskość mogło dla Reduty Świrskiego być wszystko. A co najśmieszniejsze – było.

„Uwolnić Józia!” – grzmiała Reduta w liście do władz Norwegii. A to dlatego, że 13-letni Józio po śmierci matki „został przejęty siłą przez norweski Urząd ds. Dzieci”. I przez cztery lata był „przetrzymany w norweskim sierocińcu”. A co gorsza, „babcia mogła go odwiedzać jedynie dwa razy w roku przez cztery godziny w obecności urzędnika lub opiekuna”.

Józio przetrzymywany w norweskim obozie koncentracyjnym wzburzył ponad 40 tys. prawdziwych Polaków, którzy podpisali się pod petycją o jego uwolnienie. A to wszystko dzięki Świrskiemu i temu, że odkrył, iż „dzieci zabrane przez norweski Urząd ds. Dzieci pozabawiane są kontaktu z ojczystym językiem, kulturą i wiarą, co prowadzi do wynarodowienia i stoi w sprzeczności z prawem międzynarodowym”.

Na polskie dzieci dybano nie tylko w Norwegii. „Przedstawiciel Reduty Dobrego Imienia

w Amsterdamie alarmował o wzrastającym problemie odbierania dzieci polskim rodzinom przebywającym w Holandii. Tylko w jednym roku zanotowano ponad 100 takich przypadków. W kilku z nich finał okazał się tragiczny. Kobiety, którym odebrano potomstwo, popełniły samobójstwo. Jedno z dzieci zostało odebrane matce zaraz po porodzie”. Te niegodziwości brały się stąd, że „organizacje holenderskie nie były przyjaźnie nastawione do Polaków. Przyczyną takiego stanu rzeczy była m.in. prowadzona od lat nieobiektywna, a wręcz wroga kampania medialna na temat Polski i Polaków, zastrzeżona pod koniec 2015 r. po objęciu rządu przez Zjednoczoną Prawicę”.

Polska to PiS!

Dla Świrskiego, czyli dla RDI, antypolskie i godzące w dobre imię stało się więc wszystko, co uderzało za granicą w PiS. Jak choćby komisarz UE Guenther Oettinger, który wyrażał zaniepokojenie polskimi przepychankami z Trybunałem Konstytucyjnym.

„Panie Oettinger, od czasu niedawnych wyborów w Polsce w niemieckich mediach trwa kampania zniesławiająca Polaków, a pan się do tego przyłączył. Dlatego piszę do pana w imieniu tysięcy członków i sympatyków Polskiej Ligi przeciw Zniesławieniom. (...) Polacy mają w żywej pamięci niemieckie metody w Polsce

i znają też na to odpowiedź. Polacy nie dają się zastraszyć, a pomimo różnicy potencjałów, mają możliwości obrony przed niemiecką presją”. Podpisał się pod tym oczywiście Świrski.

Gdy Bill Clinton podczas wiecu wyborczego swojej żony powiedział, że „Polska i Węgry zdecydowały, że demokracja to dla nich zbyt wielki problem i wolą przywództwo na wzór putinowski”, Świrski zebrał tysiące podpisów i stał do Clintona petycją, bo „były prezydent Stanów Zjednoczonych, wypowiadając te słowa, obraził Polaków”.

Przerąbane mieli i prokuratorzy z warszawskiej Ochoty. Reduta skarżyła się na nich, bo śmieli umorzyć śledztwo „w sprawie publicznego znieważenia flagi RP oraz godła RP poprzez kopanie i deptanie flagi w kolorze biało-czerwonym z wizerunkiem godła Państwa RP przez angielskich kibiców w trakcie Euro 2016”.

„A deptanie naszej flagi i bezczeszczanie godła nie może pozostać bez naszej stanowczej reakcji”.

Od przejścia władzy przez PiS Reduta rosła w siłę. Dostawała wsparcie charytatywne z PKO BP, wygrywała tytuł „Strażnika Pamięci”, a wraz z nim nagrodę, na którą zrzuciły się spółki skarbu państwa. Prezes Reduty został obligatoryjnym członkiem Rady Dyplomacji Historycznej MSZ. Tego samego MSZ, które wydało w kilkuset tysięcy nakładach napisane przez RDI broszurki o historii Polski dla uczestników Światowych Dni Młodzieży.

Ukoronowaniem działań Świrskiego miała być ustawa mająca na celu „ochronę dobrego imienia Rzeczypospolitej Polskiej, w szczególności ochrony Państwa Polskiego przed oskarżeniami o współudział w zbrodniach wojennych dokonanych przez okupanta na ziemiach polskich”.

Patronem projektu stał się Ziobro, który w tamtym czasie próbował skumpulować się z Glińskim, którego człowiekiem był przeciw Świrski. Gdy szkielet nowelizacji ukazał się w internecie 17 lutego 2016 r., rozpoczął się festiwal wieszania na nim psów. Pretensje mieli wszyscy. Od organizacji pozarządowych przez naukowców po MSZ. Nowelizacja trafiła do sejmowej zamrażarki na 1,5 roku. W styczniu 2018 r. prezes uznał jednak, że taka zadyma to idealny lep na elektorat, któremu nie spodobało się wywalenie z rządu Macierewicza. Skutek działalności Świrskiego przeszedł jednak oczekiwania wszystkich. Polska, zamiast bronić dobrego imienia, musiała się kajać od Izraela po Stany Zjednoczone.

Świrski za to oberwał. Stracił zajmowany od paru miesięcy nader intratny fotel wiceprezesa

Polskiej Fundacji Narodowej. Finansowały ją największe spółki skarbu państwa. Pracami PFN de facto kierował Świrski. Fundacja miała reklamować nasz kraj na świecie i – jak mówiła ówczesna premier Beata Szydło – „pokazywać Polskę piękną, przyjazną i ambitną”. Najgłośniejszą z tych promocji była kampania „Sprawiedliwe sądy”. Na billboardach – w kraju, a nie za granicą – przedstawiono sędziów jako osoby skorumpowane, kradnące i nieuczciwe. Poszło na to 19 mln zł.

Gliński czuwał, więc Świrski po wyleceniu z PFN nie został na lodzie. Nikt go bowiem nie wywalił ze stołka członka rady nadzorczej Polskiej Agencji Prasowej. Ba, we wrześniu 2020 r. Świrski został nawet jej przewodniczącym.

We wrześniu 2022 r. sejm głosami PiS powołał Świrskiego do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Rada składała się z pięciu członków z sześciolatnią kadencją – po dwóch wyznaczyli prezydent i sejm, a jednego – senat. Na pierwszym posiedzeniu KRRiT Maciej Świrski został jej przewodniczącym. Przeciw był tylko prof. Tadeusz Kowalski, medioznawca wybrany przez senat. Poza nim reszta rała to pisowcy, którzy do końca dużej prezydentury będą nie do ruszenia. Wyniki wszystkich dotychczasowych głosowań w radzie nigdy nie były dla Świrskiego gorsze niż 4:1.

Do wyborów 15 października kierowana przez Świrskiego rada zajmowała się głównie telewizją TVN i radiem Tok FM. Co dla znających Świrskiego nie było niczym dziwnym, bo już w 2018 r. nawoływał czołowych polityków PiS do bojkotu tej amerykańskiej stacji. Rada czeptała się kolejnych materiałów. Od przekrętów w komisji smoleńskiej po rolę Karola Wojtyły w tuszowaniu kościelnej pedofilii. Wszystko po to, żeby tak te, jak i inne media zrozumiwały, że jak będą dla PiS niefałszywe, to KRRiT nie przyzna im nowych koncesji na nadawanie.

Po wyborach, a szczególnie po akcji odbicia mediów przez ministra Sienkiewicza, Świrski najpierw zgłupiał, a potem jął się młotać. Najpierw nic nie rozumiał z tego, jak został ograny Duda, gdy zawetował kasę dla mediów publicznych. Bo przecież to jego weto pozwoliło Sienkiewiczowi wprowadzić – zgodnie z prawem – likwidatorów do pisowskich spółek medialnych.

Świrski, zamiast wyciągnąć z tego wnioski, wdał się w konflikt polegający na tym, że KRRiT przestała przekazywać TVP pieniądze z abonamentu. Dopóki rejestracja likwidatora w telewizji nie została przyklepana przez sąd, miało to jeszcze ręce i nogi. Teraz, gdy wpis o likwidatorze jest prawomocny, a Świrski kasy dać nie chce – jawnie łamie prawo.

A ponieważ firmuje to wszystko swoją funkcją i nazwiskiem, to może zostać odstrzelony zarówno przez Trybunał Stanu, jak i prokuraturę. Gliński i pisowska wierchuszka mają Świrskiego gdzieś, więc nie dostał z Nowogrodzkiej żadnych rozkazów. Gdyby był mądry, to forsy by przelał, do czasu zaprzysiężenia niepisowskiego prezydenta można by mu było nagwizdać i nadal przytulać swoje kilkanaście tysięcy zł miesięcznie. A tak, to jest spora szansa, że za parę miesięcy głosowania w KRRiT będą się kończyły wynikiem już nie 4:1, ale 3:2 dla PiS. Bo Świrskiego już tam nie będzie.

TOMASZ BOROWIECKI

■ Zakaz fotografowania zawarty w ustawie o obronie Ojczyzny jest niezgodny z Konstytucją RP – stwierdził rzecznik praw obywatelskich w piśmie do ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza. Zdaniem Marcina Wiącka zakaz łamie art. 54 ust. 1 ustawy zasadniczej: „Każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji”. Naszym zdaniem Wiącek pieprzy, bo sprawy te pozostają bez związku. Natomiast, oczywiście, ów zakaz fotografowania spowodował ujawnienie wszystkich obiektów wojskowych w kraju poprzez oznakowanie ich tablicami z przekreślonym aparatem fotograficznym. Podpada to pod zdradę stanu wynikłą z przyrodzonej polskiej głupoty.

■ Do Ghany w Afryce dotarł pierwszy z 12 pociągów wyprodukowany przez PESE w Bydgoszczy. Transport z fabryki przez port morski w Hamburgu trwał sześć tygodni. Jest to uzasadnione. Między Akrą a Bydgoszczą brakuje jeszcze torów kolejowych. Chodzi o ten odcinek przez Saharę do Gibraltaru. Rozwój sieci kolejowej w Afryce to wielkie wyzwanie dla ludzkości. Powinno być ważniejsze niż podbój kosmosu. Znamy się na kładzeniu torów, więc może jest to szansa dla polskiej gospodarki, skoro nasze pociągi już tam są.

■ Janusz Zemanek nie wywalczył reelekcji na wójta gminy Wilkowice w powiecie bielskim, chociaż był jedynym kandydatem, więc zdawałoby się, że zwycięstwo jest mrowane. Zgodnie z naszą ordynacją wyborczą, jeżeli kandydat na burmistrza, wójta itd. jest tylko jeden, głosowanie na niego odbywa się w trybie referendalnym. Elektorat głosuje

„za” lub „przeciw”. W tym przypadku za Zemanekiem było 40 proc. głosujących, a przeciw Zemanekowi – 60. Drugiej tury nie będzie. Wójta wybiorą radni Wilkowic. Wybrać mogą Zemanka, jeżeli ten przedstawi swoją kandydaturę.

■ Prokuratura Rejonowa w Płońsku umorzyła śledztwo na podstawie zebranych przez Centralne Biuro Antykorupcyjne dowodów w sprawie umarzenia podatków przez wójta gminy Płońsk Aleksandra Jarosławskiego na tle korupcyjnym. Kwota umorzenia wynosiła 316 tys. zł. Dowody były niewystarczające. Znaczący, że nie były dowodami. Zawsze z pewnym zdumieniem traktujemy informacje, z których wynika, że zatrudniające biegłych w prawie karnym instytucje mogą się mylić w ocenach zasadniczych. Między zaistnieniem korupcji a jej brakiem jest jednak kolosalna różnica.

■ Ponad 73 proc. osób inwestujących na rynku Forex w Polsce w 2023 r. poniosło straty – podała Komisja Nadzoru Finansowego. 128 tys. inwestorów straciło blisko 1,8 mld zł. Forex to taki wirtualny handel walutami, a w zasadzie gra hazardowa, w której obstawia się wzrost lub spadek kursu. Następnie komisja już ściemnia, a w każdym razie nie mówi całej prawdy, że zyski 23 tys. klientów sumowałyby się do blisko 250 mln zł. Ten model gry finansowej ma sumę zerową. Strata 1,8 mld oznacza czyżby zysk. W tym przypadku zarobiły banki będące organizatorami tej nieuczciwej hucpy.

RJ

PS Informacje pobrano z prasy lokalnej jako mogące być zajmujące dla globalnej opinii publicznej, co wszelako nie znaczy, że muszą być absolutnie prawdziwe.



KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ Prezes Ukraińskiego Klubu Agrobiznesu Alex Lissitsa uznał, że „polscy rolnicy są zbyt mali, aby być prawdziwymi graczami na globalnym rynku zbóż, gdzie muszą konkurować z krajami takimi jak Ukraina, Brazylia czy Rosja. Lepiej byłoby specjalizować się w produkcji kwiatów, owoców czy warzyw. Albo nawet marihuany”. Zamiast likwidować najważniejszą gałąź polskiego rolnictwa (71 proc. arealów to uprawa zbóż), można przestać wspierać Ukrainę i wówczas największy problem polskich rolników zniknie z mapy w przeciągu kilku tygodni.

★ Tymczasem na spotkaniu w Wilnie Andrzej Duda poinformował, że rząd polski zawrze umowę, na mocy której będzie przekazywał Ukrainie stały procent PKB. „Premier Tusk uzgodnił ze mną kwestie przystąpienia do porozumienia o wspieraniu Ukrainy, które podpisał nie tak dawno w Kijowie. Do tego porozumienia ma być zawarta umowa. Jestem przekonany, że po zakończeniu negocjacji rząd tę umowę zawrze” – powiedział Duda. Jak mawiał Stefan Kisielewski, miłość bez wzajemności jest zawsze najsilniejsza.

★ Z sondażu IBRIŚ przeprowadzonego na zlecenie „Rzeczpospolitej” wynika, że 74,8 proc. Polaków jest przeciwnych wysłaniu polskich żołnierzy na Ukrainę. Przeciwnego zdania jest 10,2 proc. W tym niemal cała polska klasa polityczna.

★ Portal Interia pisze o inwencji twórczej trzech Ukraińców żyjących w Polsce: „pod osłoną nocy, do pojazdu ciężarowego poruszającego się trasą szybkiego ruchu, podjeżdżali samochodem osobowym. Kierowca wyłączał światła mijania, a następnie zbliżał się maksymalnie do tylnej części naczepy, by zostać poza polem widzenia kierującego ciężarówką. Jeden z pasażerów wydostawał się z wnętrza samochodu przez otwarte okno, po czym wchodził na pokrywę silnika i zrywał zabezpieczenia plandeki. Wszystko działo się przy asekuracji kolejnego pasażera, poruszającego się tym samym pojazdem osobowym. Złodzieje dzięki temu nie byli zauważani przez kierowców. Kradzieże wychodziły na jaw dopiero po dotarciu na miejsce i rozładunku. Najczęściej ofiarami były ciężarówki firm kurierskich”.

MAREK SANOWSKI

ukraina.tygodniknie@gmail.com

ETYKA BEZBOŻNA

Posłowie do parlamentu oraz partyjni urzędnicy Zjednoczonego Królestwa byli ostatnio bardzo niegrzeczni. Niegrzeczny był nawet jeden z panów ministrów rządu Jego Królewskiej Mości. Łącznie dwudziestu i jeden pobudzonych a naiwnych chłopców orientacji obojga dało się nabrać prowokatorom, którzy naciągali ich na seks-pogawarki i przesyłanie nieprzystojnych fotek. W dodatku ten i ów przesłał „koleżance” numer telefonu do innego posła. A wszystko to odbywało się za pomocą pewnego komunikatora z białą słuchawką na zielonym tle.

Jest rzeczą wprost niesłychaną, co dzieje się z mężczyzną, któremu zaczyna się wydawać, że jakaś kobieta jest chętna na jego podłужne wdzięki. Chyba tylko niskim prawdopodobieństwem czegoś tak absurdałnego, jak zainteresowanie ładnej dziewczyny ciastowatym bładym posłem, wytłumaczyć można całkowitą utratę rozumu przez tegoż, o ile tylko taki cud mu się przydarzy. Bo gdyby nie zalew hormonalnej posoki od kroczka po czubek mózgu, resztki rozumu kazałyby przecież uznać ów telefoniczny afekt za wielce podejrzany i nieprawdopodobny. Tyle że właśnie te hormony rozum akurat znieczulają, a za to wiarę w cuda

wzmagają i to proporcjonalnie do narastającego podniecenia. A podniecenie narasta i narasta. Wzmaga się tak ekscytująco z każdą kolejną wiadomością od „pięknej nieznajomej”. Pięknej niewątpliwie, bo przecież tylko piękna i doskonała istota może być tak przenikliwa, by dostrzec całą wspańiałość prawdziwego mężczyzny ukrytego we wnętrzu nieforemnej kukły, na widok której własna żona zamyka oczy. Ona się na nim poznała i pisze spragniona jego męskości!

Kobieta, gdy otrzyma nieprzyzwoitą wiadomość od nieznajomej osoby, odczuwa odrzęt i irytację. Natura nie wyposażyla jej bowiem w imperatyw obcowania płciowego ze wszystkim, co tylko jest zdolne wywołać w niej minimalne choć nawilżenie stosownych organów. Z mężczyznami zaś jest całkiem na odwrót. W to mu graj! Chutliwie to plemię ma już tak, że gdziekolwiek utworzy się najbardziej mglista choćby perspektywa wetknięcia swojego gumiestego spryskiwacza rozsiewającego małych koleś z ogonkami, tam leci bez opamiętania i z obłędem w oczach. A czym

Dzika kaczk

Pamiętają Państwo, jak kilka dni przed wyborami parlamentarnymi prezes Kaczyński uszkodził wieniec przed Pomnikiem Smoleńskim, a następnie, powołując się na to, że jest ministrem, żądał wylegitymowania dziennikarza? Nie było to rozsądne – Polacy nie znoszą wywyższania się innych. Kaczoland był wówczas tworem znieawidzonym w czasoprzestrzeni, a filmik z Prezesem, który mało twarzowo wytrzeszczał się do obiektywów telefonów, sytuacji nie poprawił. Kaczyński przegrał, również dlatego, że dopuścił myśl o przegranej, a frustrację wyładował na Bogu winnym czerwonym anturium. Pokazał, że może, że jest słaby, a Polacy słabym z reguły dokopują, co poniekąd stanowi osobliwą kompozycję z ich niechęcią do zbyt pewnych siebie. Kaczka została zmierzona i zważona – emocjonalnym centymetrem, uczuciową wagą. Najwyraźniej jednak zadyma pod pomnikiem weszła Prezesowi i jego przydupasom w krew niczym „smoleński” PMS. Przypomnę, jaki napis widnieje na feralnym wieńcu, który ciałem się staje miesiąc w miesiąc: „Pamięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego, który ignorując wszelkie procedury nakazał pilotom lądować w Smoleńsku w skrajnie trudnych warunkach. Spoczywajcie w pokoju. Naród Polski”.

Czternaście lat temu nie przypuszczaliśmy, że PiS zafunduje nam takie smętne igrzyska. Czternaście lat temu nie wiedzieliśmy, że politycy mogą bezkarnie kraść – na potęgę posępnych czerepów... Czternaście lat temu byliśmy młodszy i bardziej naiwni. Feralnego dnia rozbijałam się zabytkowym mercedesem cabrio prowadzonym przez superprzystojnego męża koleżanki, który miał mnie dowieźć na krakowski Dworzec Główny. I dowiozł, ignorując przepisy i ścinając Rynek. Raptem ze dwadzieścia minut wcześniej dowiedzieliśmy się z samochodowego radia, że prezydencki samolot, no pieprznął... I przez dwadzieścia minut kręcąc retro pokrętlami w kopcicie próbowaliśmy dowiedzieć się, czy aby na pewno? Czy aby to nie jest kaczk? To kaczk, samiec – świat jest dziwnym miejscem – wyleciała zza ołtarza polowego, kiedy na Okęciu celebrowano pierwszą ekumeniczną mszę nad trumnami zawierającymi wszystko i nic. Nie

wzruszało mnie to, bo ów wypadek po-grzebał promocję mojej książki „Naga”. To z tej racji byłam w Krakowie i jara-

łam się dzień albo dwa dni wcześniej spotkaniem ze mną w Empiku. Jarałam się swoją gębą wiszącą obok twarzy profesora Staniszkis, widocznymi przednio na Rynku.

Nie chwał dnia przed nocą. Tygodnia przed niedzielą. I inne takie. Osobliwym trafem teraz wznowienie „Nagiej” trafiło w pierwszym tygodniu dystrybucji audiobooka i e-booka na podium za Twardochem w dziale polska literatura piękna Empiku... Czasem coś przychodzi niby wcześniej, a jednak przychodzi już za późno. To samo pewnie wie Kaczyński – rządzić na kościach brata bliźniaka, szwagierki, przyjaciół i wrogów? Samotność nie jest mu obca.

...

Po tym, jak Suski ciął druzy przy tabliczce wieńca, to ostatnim razem Kaczyński przejął kombinerkę. A ostatecznie wieniec w eskorcie policji Prezes zabrał i wrzucił do samochodu, tym samym dopuszczając się kradzieży mienia Zbigniewa Komosa (fundator kwiatów i życzeń). I temu towarzyszy filmik... Kaczyński schudł, odmłodził, nie jest spuchnięty od leków, „błędny okiem toczy” tylko od czasu do czasu. Basset albinos. Ziobro, zakrecony i niedowierzający, mógłby się wiele od Prezesa nauczyć. „Dzisiaj na pl. Piłsudskiego przy Pomniku Ofiar Tragedii Smoleńskiej doszło do incydentu z udziałem parlamentarzysty, który zabrał wieniec złożony w tym miejscu przez inną osobę” – przekazał rzecznik prasowy Komendy Stołecznej Policji podinsp. Robert Szumiata. „Z uwagi na to, że całe zająście zostało nagrane, a parlamentarzysta jest osobą powszechnie znaną, jego zatrzymanie nie było niezbędne do zapewnienia prawidłowego toku postępowania, a więc nie zachodziły przesłanki wymagane dla podjęcia takiego działania” – dodał. W żadnym wypadku nie chciałabym uwłaczać prawom ani majątkowi pana Komosa, ale czy warto...? „Niech mi pan nie mówi, że ja nie mogę czegoś, co w sposób skrajny, bezczelny, putinowski obraża mojego brata, rozmontować” – powiedział Kaczyński do upominających go gliniarzy. Czy warto...? Może już pora na menopauzę?

IZABELA SZOLC



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Małe świntuszki



Rys. JANUARY

bardziej leci, tym większy i niepo-hamowany staje się jego szal, gdyż to własne podniecenie podnieca go najbardziej. Nakręca się biciem własnego serca, a narastające ciśnienie w spodniach mgłą zasnuwa mu oczy. Bo świntuszkiem jest mężczyzna i basta. I takim już trzeba go kochać (albo i nie trzeba).

Jest rzeczą znaną z historii, jak kobiety chwyt za kroczce sprawia, że potężny swą władzą mężczyzna staje się bezwonnym wykonawcą żądań tej, która wie, jak gospodarować jego wyobraźnią oraz własnym dymiącym łonem. Żalonne to, obsceniczne i płaskie. Ale taka jest prawda. I co na to etyka?

No, cóż. Chciałoby się, aby chłopcy od małego uczeni byli powściągliwości, opanowania i szacunku nie tylko dla kobiet, ale i dla samych siebie. Jednak natura tak to już urządziła, że jak przyjdzie co do czego, to wychodzi z nich samiec, a raczej bezwolny samczyk, którego zadaniem jest zapładniać i zapładniać – ile się da i kogo się da. Gdy człek młody i testosteronu pełen, nie ma szans w nierównej walce z własną poządliwością. Z czasem jednak sytuacja się nieco poprawia i konfrontacja z diabolicą-kusicielką, a nawet z własnym przyrodzeniem niekoniecznie musi się skończyć męskim upadkiem.

Jest na to kilka sposobów, które może nie dają gwarancji powodzenia,

Żywcem i brona

O co właściwie chodzi rolnikom, wiedzą tylko ci, którzy ich wysyłają na blokady.

W pierwszych dziesięciu latach po wejściu do Unii nic nie podrożało u nas tak bardzo jak ziemia rolna. Agencja Nieruchomości Rolnych podawała, że średnia cena hektara wystrzeliła w tym czasie o ponad 500 proc.

Nie rzucim ziemi

Kiedy do władzy doszło PiS, handel ziemią został upaństwowiony. Kupcy mogli nabywać hektary tylko, gdy byli rolnikami, a na dodatek zgodę wyraziła na to władza. Mimo to ceny szły w górę. Średnia cena hektara na kochającym PiS Podkarpaciu w 2016 r. wynosiła 24 035 zł. Dziś to 40 tys. zł. W przypadku najdroższej w Polsce ziemi wielkopolskiej na starcie rządów Szydło za uśredniony hektar trzeba było zapłacić 54 661 zł. Teraz nie kupi się go taniej niż za 87 tys. zł. Może wzrost tych cen nie jest oszałamiający – ale podczas gdy na inflacji reszta społeczeństwa traciła, posiadacze arealów rolnych wyszli równie dobrze jak właściciele mieszkań w du-

żych miastach. To zaś pokazuje, że lękający nad swoją niedolą producenci rolni mocno przesadzają. Jeśli bowiem ich biznes byłby tak nieopłacalny jak mówią – ziemia by taniała. A przecież drożeje i to w sytuacji, gdzie jej nabywcą może być tylko producent rolny, czyli ktoś znający realia rynku.

Gdyby handel ziemią rolną był wolny – czyli nabyć hektary mógłby każdy z gotówką – to zgodnie z prawami rynku cena śmignęłaby w górę jeszcze szybciej. Dlaczego zatem rolnicy protestujący przeciw Zielonemu Ładowi i ukraińskim płodom nie walczą z – wciąż obowiązującym – sztucznym ograniczeniem popytu na hektary?

Odpowiedź jest prosta i bardzo dla protestujących niefajna. Zakaz sprzedaży ziemi rolniej nierolnikom służy bowiem tylko jednej kategorii biznesowej – latyfundystom zwanym pieszczotliwie argobiznesmenami. Bo w myśl ducha i litery prawa są oni rolnikami, i to im właśnie wolno kupować rzeczzone morgi. Ponieważ jest ich nieszczególnie wielu, pisowski szlaban na handel ziemią oznaczał spowolnienie wzrostu cen. Lobby agrobiznesowe załatwiło sobie z PiS,

lecz przynajmniej podwyższają nieco ten próg podniety, jaka jest niezbędna, aby mężczyzna postradał zmysły. I choć nie są to sposoby odwołujące się wyłącznie do etyki, to jednak do pewnego stopnia tak. Główny bezpiecznik to oczywiście dobry i satysfakcjonujący związek. Mężczyzna zaspokajany kilka razy w tygodniu raczej nie będzie się podkładał ani ryzykował utraty dobrej partnerki. Etyki tu wielkiej nie ma, choć udany związek częściej staje się udziałem ludzi przyzwyczajonych i uczciwych niż pętałów i drapichrustów. Jeśli jednak biedny brytyjski parlamentarzysta nie może się pochwalić wystarczająco ponętą i kochającą partnerką, która zadba o jego bładą ciastowatość jak o co dobrego, to co mu pozostaje?

Pozostaje mu, rzecz jasna, uczciwość małżeńska (partnerska), która zakazuje świntuszyć z innymi. Wierność swojej partnerce nie musi wynikać wyłącznie z lęku przed zdemaskowaniem. Może mieć bowiem również moralną podstawę w ideach prawdy i zaufania. Związek, w którym miłość trwa tylko dlatego, że partnerka nie zna prawdy o niewierności mężczyzny i bezpodstawnie mu ufa, jest nieprawdziwy, bo oparty na fałszu. Kto chce prawdy w miłości i takiego zaufania, którego naprawdę byłby godzien, ten musi się wyrzec przypadkowego seksu z innymi, na-

wet jeśli wydaje mu się on czymś całkiem niewinnym i w gruncie rzeczy pozbawionym znaczenia.

Bo czy naprawdę pozbawionym znaczenia? Jednak nie. Przecież kobieta kocha cię jako mężczyznę, a nie samczyka, który poleci wszędzie, gdzie rozewrą się dla niego czyjeś nogi. Samczyka można nawet lubić, lecz nie można go szanować. Szacunek mamy wszak tylko dla ludzi dojrzałych i poważnych, którzy właśnie przez swoją solidność i opanowanie – być może większe niż nasze własne – budzą w nas szacunek i ufność. Najważniejszy powód jest jednakże inny. Błaha niby rozrywka, jaką jest seks na boku, wcale nie jest błahą i nieistotną dla tego, kto się jej oddaje. Seks to nie zabawa, nawet jeśli ktoś potrafi unikać emocjonalnego zaangażowania. W tej zabawie, choćby i płatnej, odsłania się bowiem intymność człowieka. Ze on tam wtyka, gdzie nie trzeba i pryska – to jedno. Ale że przy tym jest goły i jeszcze jęczy – przy albo raczej na obcej kobiecie – to już sama żalostność w swej nagiej osobie.

Tak więc w oczekiwaniu propozycji na komunikatorze z białą słuchawką na zielonym tle całuję rączki tudzież padam do nóżek szanownych wielbicieli wybitnej inteligencji i cnoty bezbożnego etyka.

JAN HARTMAN

że włościanie gospodarujący na paru hektarach mogą być wykupywani za grosze przez tych uprzywilejowanych – dysponujących i kasą, i nielimitowanym dostępem do kredytów bankowych. I udało się. W ciągu tych paru lat średnia wielkość gospodarstwa rolnego zwiększyła się o 10 proc.

O nieustającej opłacalności produkcji rolniej świadczy i to, że ugory i odłogi, których powierzchnia jeszcze 10 lat temu sięgała miliona hektarów, teraz liczą sobie ledwie 150 tys. hektarów. I to tylko dlatego, że z procedurami nie radzą sobie instytucje odpowiadające za grunty należące do skarbu państwa, na które skończyła się dzierżawa.

Twierdzą nam będzie każdy próg

Powtarzane od miesięcy hasło „protesty rolnicze” oczywiście też jest ściemą. Bo zdefiniowanie rolnika to dość zawiła operacja intelektualna. W KRUS ubezpieczonych jest ponad milion osób: 630 tys. rolników, 270 tys. współmałżonków, 140 tys. „domowników”; nieco ponad 7 tys. ubezpieczonych jest jako „pomocnicy rolnika”. W ciągu trzech lat liczba ubezpieczonych w KRUS spadła o 100 tys., a na przestrzeni 20 lat – o 600 tys.

Od 630 tys. ludzi ubezpieczonych jako rolnicy do ARiMR wpłynęło w zeszłym roku 1,24 mln wniosków o dopłaty bezpośrednie. Jeśli to się nie trzyma kupy, to za chwilę będzie jeszcze zabawniej.

Według GUS mamy ponad 1,3 mln gospodarstw rolnych. Tylko 40 tys. z nich dysponuje arealem większym niż 50 ha. W przedziale 20–50 ha mamy 106 tys. gospodarstw. Zgodnie więc z tymi danymi, 974 tys. to gospodarstwa poniżej 10 ha. To aż trzy czwarte wszystkich gospodarstw w Polsce. I – jak wynika z raportu „Polska Wieś i Rolnictwo” – połowa z nich nie może się utrzymać tylko z rolnictwa. Z tego wynika, że dla około pół miliona gospodarstw rolnych rolnictwo jest jedynie dodatkiem do pracy zawodowej właścicieli.

Zdaniem ekspertów od wsi, spora część właścicieli najmniejszych gospodarstw i tak nie zajmuje się rolnictwem, a ziemię wydierżawia większym gospodarstwom. Stąd najmniejsze zarejestrowane gospodarstwa to byty czysto statystyczne, które nie produkują na rynek. Niektóre nie uprawiały nawet skrawka ziemi. Wciąż zdarzają się przypadki, że osoby ubezpieczone w KRUS nawet nie wiedzą, gdzie są ich pola. Miliony hektarów są więc często dzierżawione od lat, a właściciele biorą za nie tylko dopłaty.

Specjaliści radzą zwrócić uwagę na fakt, ile osób ma prawo do głosowania w wyborach do izb rolniczych. Nie brakuje wsi, gdzie z roli żyją trzy gospodarstwa, a uprawnionych jest ponad 100 osób. Większość nawet nie wie, że są członkami samorządu rolniczego.

Skoro według KRUS rolników jest milion, a wedle GUS – nawet 2 mln, to zderzmy te dane z liczbą wniosków, jakie wpłynęły do ARiMR w związku z dopłatami do nawozów, czyli czymś koniecznym do uprawiania czegokolwiek. A dane mówią o 351 tys. wniosków. I zdaniem ekspertów liczba ta jest najbliższa prawdy o tym, ilu faktycznie mamy w Polsce rolników.

Podnosim czoła dumnie

Dziś rolnicy to 8,4 proc. ogółu pracujących. Generują oni ledwie 2,5 proc. PKB. W Niemczech czy we Francji rolnictwo daje ok. 2 proc. PKB, ale zatrudnia 2 proc. wszystkich pracujących. Wygląda więc na to, że polscy rolnicy są mocno nieefektywni.

Ekonomiści od wsi upatrują tego w czymś, czym chlubią się pospół PSL i PiS. W rodzinnym charakterze naszych gospodarstw rolnych, które bardzo często odpowiadają za zabezpieczenie ekonomiczne nawet kilku pokoleń. To stąd bierze się w tym sektorze zbędna siła robocza przykrywająca de facto ukryte bezrobocie.

Obowiązuje filozofia, że jeżeli członek rodziny traci pracę poza gospodarstwem, to na rodzinnych morgach zawsze ją znajdzie, bo dobro rodziny to jest wartość nadrzędna. Tak powstaje nadmiar zatrudnienia w rolnictwie. To głównie dzięki temu – a nie Ukrainie, czy Brukseli – dochody w tym sektorze maleją.

Mali rolnicy, żyjący z wydierżawienia ziemi i dorywczych prac na polach latyfundystów, nie mają o tym pojęcia. A przecież to oni są przez wielkich plantatorów delegowani na protesty. Dostają wytyczne i jadą. A potem blokują drogi i miasta, wykrzykując postulaty, które nie zawsze rozumieją.

Skończy się jak zwykle – mała, ale hałaśliwa grupa zawodowa kasę dostanie. Bo oczywiście to tylko o nią chodzi. Dowodem tego hasła o konieczności ochrony polskiego rynku zbóż. Tyle że zboża i rzepak to zaledwie 23 mld zł ze 145 mld zł, które daje całe polskie rolnictwo.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ziobrowa kasa dla Rydzyka.

Lista przebojów Lux Veritatis

Jakby mało było przykrości spadających na dzieło toruńskiego konglomeratu po zmianie władzy w kraju nad Wisłą, do działalności rydzykowej Fundacji Lux Veritatis przypierdolił się dziennikarz wrogiemu imperium TVN Szymon Pieniążek. Skierował do Fundacji zapytanie związane z przeznaczaniem pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości m.in. na rzecz projektu Centrum Ochrony Praw Chrześcijańskich oraz programów w TV Trwam. W ramach odpowiedzi dyrektor finansowa Lux Veritatis Lidia Kochanowicz-Mańk wystosowała w sprawie oświadczenie, w którym wypunktowała zadania zrealizowane przez fundację w ramach współfinansowania przez Ministerstwo Sprawiedliwości.

Zrobiłam szybki przegląd najbardziej smakowitych kąsków, żeby sprawdzić, jak Radio Maryja i jego odczoła chciały przeciwdziałać przyczynom przestępczości. Nie wiadomo, czy o pewności siebie pani dyrektor zdecydowało wieloletnie zaznaczanie ziobrowymi oparami nietykalności, czy też równie długa stażem praktyka unikania konwencjonalnej moralności – tak czy owak lekatura listy projektów uszytych za ministerialne benefity wskazuje na jedno: wszystkie były bezużyteczne jak dupa syreny.

Trwam twardo trwa

„Pokój ludziom dobrej woli”, 2017 r., kwota dotacji: 180 800 zł. Akcja informacyjna o skutkach i potrzebie przeciwdziałania przemocy szczególnie wobec dzieci i starszych. Podczas akcji przekazano także informacje o systemie darmowej pomocy prawnej, udzielano porad eksperckich (prawnicy, psycholodzy, terapeuci) i dystrybuowano materiały informacyjne. Bezpośrednimi uczestnikami projektu było 970 osób z całej Polski w zróżnicowanym wieku – napisała Kochanowicz-Mańk. Nie lałam tak beczelnie wody nawet na egzaminie z psychofizjologii widzenia na studiach, a był to mój największy szpagat w karierze naukowej. Dofinansowanie wspomnianej imprezy wyniosło nie 180 kół, a 460 400 zł. Mówił o tym na posiedzeniu sejmiku w październiku 2018 r. sam sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości Michał Wójcik – sprawdziłam. Za tę kwotę zorganizowano koncert kolęd w Polskiej Filharmonii Bałtyckiej z udziałem Orkiestry Reprezentacyjnej Straży Granicznej, transmitowany w „ogólnodostępnej telewizji”, którą oczywiście była TV Trwam. Pozostaje mieć nadzieję, że gromkie oklaski podniosły na duchu wszystkie ofiary przemocy domowej.

„Po stronie prawdy”, 2017 r., kwota dotacji: 180 000 zł. Akcja informacyjna polegająca na pro-

dukcyj i emisji na antenie TV Trwam pięciu odcinków cyklu audycji o charakterze interwencyjnym, w których omówiono tematykę nadużyć prawnych. Trudno szukać tych dzieł reportażu i dydaktyki w sieci. Szkoda, bo jeśli idzie o naginanie prawa, to mało kto jak Rydzyk wie, że par- kiet do takiego baletu bywa śliski, więc i nauczyć mógłby sporo. Znalazłam jeden odcinek z 2017 r., o tematyce walki z afrykańskim pomorem świń na Lubelszczyźnie. Pech chciał, że zaraza dotarła do diecezjalnego sanktuarium maryjnego. Dotrwałam do momentu, jak ksiądz Stanisław Chodźko, duszpasterz rolników diecezji siedleckiej, powiedział, że ufa w pomoc Bożą i tak jak uczył Jan Paweł II, wszyscy powinni wspólnie nieść brzemień – w tym wypadku świńskiej – zara- zą. Realizatorzy za tę kasę mogli chociaż wypastować swinię, która by udawała kaszłającego dzika. Nic z tego. Kilku rów- nie smutnych, co brzuchatych Januszy stojąc w ogrodzie rozpaczyło swoje rolnicze żale. Strata czasu.

„Bądźmy bezpieczni”, 2018 r., kwota dotacji 416 600 zł. Akcja informacyjna dotycząca upowszechniania wiedzy z zakresu przeciwdziałania i reagowania na różne formy przestępczości. Jej składowymi były: budowa portalu internetowego, produkcja i emisja audycji oraz kampania informacyjna. Portal faktycznie powstał i działa do dziś. Strona ostrzegamy.online to prawdziwa skarbnica wiedzy. Rozliczne zagrożenia podzielono na kategorie: ekonomiczną, ekologiczną, społeczną i duchową. Jest również wzmianka o cyberzagrożeniach. Z opublikowanych materiałów możemy się dowiedzieć, jak prawidłowo przechowywać żywność w lodówce; poznać wytyczne Głównego Inspektoratu Sanitarnego dla organizatorów pielgrzymek; przeczytać, że in vitro to eksperyment na gatunku ludzkim, a picie yerba mate powoduje raka. W artykule „Muzyka narzędziem walki o duszę człowieka” katolicki dziennikarz muzyczny, ewangelizator Grzegorz Kasjaniuk zwraca uwagę, że osoby kontrolujące show-biznes muzyczny często reprezentują okultyzm. Wtórnie mu Monika Bilska, dziennikarka i fotografa Radia Maryja, przekonując, że okultyzmem i satanizmem mają parąć się także „elity świata techno”.

Na szczęście „najsukuteczniejszą ochroną przed niebezpieczeństwami istniejącymi w świecie muzyki jest trwanie w stanie łaski uświęcającej: częsta spowiedź i przyjmowanie Eucharystii”. Bogu i Ziobrze niech będą dzięki.

„Prawda a historia” – lata 2020–2023. Kwota dofinansowania nie w mąkę pierdział: 5 486 320 zł. Szeroko zakrojona kampania informacyjna na temat znaczenia wolności słowa w kontekście wolności obywatelskiej, prawdy historycznej i przede wszystkim „odkłamania historii” musiała kosztować. Częścią składową projektu były między innymi: produkcje reportaży historycznych, audycje w formule live, publikacje historyczne oraz konferencje. Tematyka: Katyń, ratowanie Żydów przez Polaków czy reparacje wojenne. Przeciwdziałanie przemocy jak z kóz- dzie dupy pudernica. Gdyby komuś jednak było mało prewencji, w ramach grantu wyemitowano 24 audycje z cyklu „Rozmowy niedokończone”. Program od lat jest hitem ramówki Radia Maryja i TV Trwam. To m.in. dzięki emitowanym w nim wezwaniom do wpłat, media Rydzyka otrzymują tzw. wdowi grosz od słuchaczy i widzów. Pytanie, kto dzięki temu czuje się bezpieczniej, wydaje się być retorycznym.

Centrum Pohoru Gotówki

„Papież ostatnich pontyfikatów wielokrotnie zwracali uwagę, że obecnie jest więcej męczenników chrześcijańskich, niż było ich w starożytności” – można przeczytać na stronie Centrum Ochrony Praw Chrześcijańskich, organizacji, która jest odpowiedzialna za fałsz dyskriminacji religijnej pojawiającej się na świecie i w Polsce. Ta niewesoła diagnoza pociągnęła za sobą równie nieciekawe koszty przeciwdziałania prześladowaniom wyznawców brodatego mesjasza. Organizacja wylała sobie z ziobrowego funduszu 7 116 960 zł na lata 2020–2023. Moją ulubioną interwencją COPCh zostało opracowanie zawiadomienia do prokuratury „w związku ze zorganizowaniem zbiórki pieniędzy na cele zabronione (ścinanie krzyży)”.

„Jeżeli jesteście państwo świadkami ataków na Kościół, duchownych, wierzących czy osoby lub przedmioty czci religijnej, to prosimy o zgłoszenie się do nas, a my na pewno się tym zajmiemy!” – reklamuje się centrum. Zaden wyczyn – za taką kasę sama bym stanęła murem za chrześcijaństwem.

Lidia Kochanowicz-Mańk zasiada w zarządzie Fundacji Lux Veritatis obok Jana Króla i Tadeusza Rydzyka. Fundacja jest wydawcą TV Trwam i ma blisko 100 proc. udziałów w dwóch spółkach: Geotermia Toruń i Uzdrowisko Termy Toruńskie. Na początku marca prezydent Andrzej Duda wręczył odznaczenia Srebrnego Krzyża Zasługi autorom „Raportu o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej”. Wśród odznaczonych była Kochanowicz-Mańk. Tak tylko podkreślam, gdyby komuś frywolnie przyszło na myśl, że Ministerstwo Sprawiedliwości doszuka się przyczyn przestępczości u księgowej toruńskiego biznesmena.

IDALIA DUBICKA



WIARA CZYNI CZUBA

1. „Przedstawienie produkcji japońskiej firmy na pieluchy dla dorosłych podkreśla spadającą wskaźniki diety na całym świecie” – donosi katolicki portal informacyjny CNA. Oji Holdings z Tokio poinformowała w komunikacie prasowym, że jeszcze w tym roku zakończy swoją „krajową działalność w zakresie pieluch dla niemowląt”, które stały się w Japonii „biznesem o niskim wzroście” i za to zamierza „skoncentrować swoje zasoby na rynku krajowych pieluch jednorazowych dla dorosłych, gdzie spodziewany jest wzrost”. „Katolicy przywódcy od lat ostrzegają przed spadkiem wskaźników diety na całym świecie” – donosi z niejakim Schadenfreude CNA – „Ojciec Święty przestrzega, że piękno rodziny pełnej dzieci może stać się utopią”.

2. Okręg szkolny Cedar Grove-Belgium w stanie Wisconsin szuka nowego superintendenta – to coś na kształt samorządowego kuratora nadzorującego publiczne szkoły.

Wśród wymogów wystawianych przez radę szkoły znalazła się informacja, że kandydat „musi pasować do postawy społeczności (konserwatywne, chrześcijańskie wartości)”. Zrobiła się lekka zadyma, albowiem publiczna edukacja w USA ma obowiązek być neutralna wyznaniowo. Mike Richie z kancelarii Hazard, Young, Attea & Associates w Illinois, wynajętej do znalezienia nowego szefa dystryktu, przyznał, że warunek wyznaniowy był błędem, ale dodał, że tak wynikało z fokusów wśród mieszkańców. Co piąty mieszkaniec stanu Illinois deklaruje się jako osoba bez przynależności religijnej, ale tych antychrystów najwyraźniej nikt nie pytał.

3. Z kolei Sąd Najwyższy stanu Arizona orzekł, że stan ma prawo egzekwować przepisy ustawy z 1862 r. – z czasów zanim Arizona została stanem USA – który zakazuje aborcji w każdej sytuacji z wyjątkiem ratowania życia kobiety, pod karą 2–5 lat więzienia. Wprawdzie w 2022 r. stanowy kongres przyjął ustawę legalizującą przerywanie ciąży do 16. tygodnia, ale SN stwierdził, że przepis z czasów wojny secesyjnej jest aktualniejszy. Republikański senator Anthony Kern wsparł sąd modlitwą w sali senatu, gdzie on i kilku jego ideowych pobratymców padło na kolana i zaczęło bić łbem o podłogę „mówiąc językami”, czyli wydając z siebie belkot, przez religijnych ekstremistów uznawany za mowę charzmatyczną. Na złośliwe komentarze Kern zareagował z dumą: „Nasz team modlitewny podburzył kilku nienawidzących Boga”.

4. Włoskie stowarzyszenie katolickich telewizorów AIART Media Citizens wygrało wojnę z bluźnierczą reklamą chipsów ziemniaczanych Amica. W reklamie matka przełożona wypelnia cyborium chipsami, bo zabrakło hostii i zakonnic strasznie chrupią podczas przyjmowania komunii. Zdaniem szefa AIART, Giovanniego Baggio, reklama „obrazuje uczucia milionów praktykujących katolików”, „trywializuje porównanie między chipsem ziemniaczanym a konsekrowanym komunikantem” i jest „oznaką niezdolności do prowadzenia marketingu bez uciekania się do symboli, które nie mają nic wspólnego z konsumpcją i chrupiącym jedzeniem”. Oburzenie wyraziła również katolicka gazeta „Avvenire”, która napisała: „Chrystus został zredukowany do chipsa ziemniaczanego. Poniżany i oczerniany jak dwa tysiące lat temu”.

5. Jessica Hanna, która zrezygnowała z leczenia nowotworu, ponieważ była w ciąży i nie chciała narażać płodu, właśnie zmarła. Jessica została gwiazdą katonetu, kiedy ogłosiła na Instagramie, że nie zgodziła się na usunięcie 14-tygodniowego płodu po wykryciu raka piersi, albowiem „eucharystia jest jej lekarstwem”. Swoje konto opatrzyła hashtagiem @blessed_by_cancer – „błogosławiona rakiem” – i zapelniła opowieściami, w których porównywała siebie do Chrystusa: „Różnica między moim Wielkim Piątkiem, a Wielkim Piątkiem Jezusa polega na tym, że ja rzeczywiście zasłużyłam na moje cierpienie, a On z pewnością nie”. „Moja

piękna oblubienica Jessica spokojnie odeszła po swoją wieczną nagrodę” – napisał na tym samym koncie jej mąż Lamar, który teraz będzie wychowywał czwórke dzieci bez matki, ale za to w kuliście świętości.

6. W katedrze św. Wilhelma w Laoag na Filipinach oficjalnie rozpoczęto proces beatyfikacyjny Niñi Ruiz Abad, 13-latk, która zmarła w 1993 r. na zawał spowodowany kardiomiopatią przerostową. Niña co prawda nie odmówiła leczenia, ale za to była bardzo wierząca.

Ksiądz Danny Pajarillaga, proboszcz parafii, do której dziecko należało, wyjaśnia przejawy jej świętości: „Była bardzo dobrze ułożona, zawsze ubrana w nieskazitelną biel, cicha, ale zawsze gotowa, by obdarzyć wszystkich swoim niewinnym uśmiechem. Kochała Eucharystię, była bardzo skupiona i spędzała więcej czasu na modlitwie niż dzieci w jej wieku”. Wśród zasług 13-latk dla wiary i Kościoła wymienia się fakt, iż często rozdawała w szkole obrazki z Dzieciątkiem Jezus, a także ukuła slogan „po pierwsze Bóg”.



Godność dziwek i zboków

Księża pedofilia nadal jest w oczach Watykanu najmniejszym z problemów.

Dykasteria Nauki Wiary w końcu wydała z siebie opracowywaną od pięciu lat deklarację zatytułowaną „Dignitas Infinita” („Godność nieskończona”), w której Watykan wykląda, komu przysługuje godność, a komu niekoniecznie.

Teoretycznie „godność ontologiczna” należy się każdemu, albowiem „odnosi się do osoby jako takiej przez sam fakt jej istnienia oraz bycia człowieka, stworzonego i kochanego przez Boga”. Tako rzecz pkt 7. Ale trudno oprzeć się wrażeniu, że w następnych punktach pojawiają się wyjątki.

Nienarodzone jeszcze dziecko

Niezaskakująco deklaracja potwierdza papistowską obsesję na temat aborcji. Fakt, iż godność zarodka Kościół stawia ponad godnością człowieka będącego kobietą w niechcianej, groźnej dla zdrowia, źle się rozwijającej, czy pochodzącej z gwałtu ciąży, nikogo specjalnie nie zaskakuje – zwraca uwagę natrętego, z jakim to zagadnieniu powraca w całym, liczącym 40 stron maszynopisu dokumencie.

Aborcji poświęcony jest specjalny punkt, w którym kobiety traktowane są z niejakim protekcjonalizmem – Watykan wyzywa do tego, żeby „spójrzeć prawdzie w oczy i nazywać rzeczy po imieniu, nie ulegając wygodnym kompromisom czy też pokusie oszukiwania siebie”, tak jakby przerwanie ciąży było aktem właściwym płochym istotom, które nie zdają sobie sprawy z doniosłości rodzącego się życia. Wystarczy, żeby się nad tym poważnie zastanowiły i problem wyskrobków zniknie.

Dodatkowo deklaracja wtyka dziecko poczęte w każdym możliwym miejscu. Kiedy pisze, skądinąd słusznie, że godność przystoi także ludziom, którzy o tym nie wiedzą, za każdym razem uważa za stosowne zestawiać osoby niemające pełnej świadomości z jaszczurkowatym zlepkim komórek bez układu nerwowego: jeśli godność byłaby związana ze „zdolnością do poznania i wolności”, to „godności osobowej nie posiadałoby nienarodzone jeszcze dziecko, podobnie jak niesamodzielna osoba starsza czy osoba z upośledzeniem umysłowym”; „osoba zawsze istnieje jako »indywidualna substancja« z całą swoją niezwykłą godnością; dzieje się tak na przykład w przypadku nienarodzonego jeszcze dziecka, osoby pozbawionej zmysłów, osoby starszej w agonii”.

Dla kompletu punkt poświęcony aborcji zwieńczony jest „przypomnieniem wielkodusznego i odważnego zaangażowania św. Teresy z Kalkuty w obronę każdej poczętej osoby”.

„Święta Teresa z Kalkuty” była psychopatką, która uwielbiała patrzeć na cierpienie – do tego stopnia, że zabraniała podawania leków przeciwbólowych konającym w męczarniach pacjentom;

lekarze w jej przytułkach przemycali jej, mówiąc szczerze, że to witaminy. Członkini zakonu Misjonarek Miłości – w drugiej połowie XX wieku – miała obowiązek codziennego biczowania się; zakonnikom, podobnie zresztą jak pacjentom, golono głowę. Pojęcie godności było tak odległe od działania „świętej Teresy”, jak teoria Newtona od dogmatu o wniebowzięciu Przenajświętszej Panienki. Teresa była też chciwą suką, która zbierała wielomilionowe darowizny, ale pozwalała podopiecznym zdychać z głodu. Oszczędzała nawet na jednorazowych igłach, w kółko używając tych samych, które z czasem stawały się tępe jak ksiądz katecheta. W sumie – jest dziś wiedzą powszechną, iż uświęcona przez Wojtyłę zakonnicą była postacią co najmniej kontrowersyjną. Fakt, że jest ona – obok samego Wojtyły – jedyną współczesną „świętą” przywoływaną w watykańskiej deklaracji, wydaje się znaczący.

Ciało uczestniczy w godności

Obok kobiet w niechcianej ciąży drugą grupą, której godność podlega dalece idącym ograniczeniom w oczach Kościoła kat., są – a jakże – osoby transpłciowe. Im też poświęcono kilka osobnych

punktów dla niepoznaki zatytułowanych „Teoria gender”.

Na początku Watykan Franciszka podkreśla swoją postępowość, twardo oświadczając, że „każda osoba, niezależnie od swojej skłonności seksualnej, musi być szanowana w swej godności i przyjęta z szacunkiem”, a także „potępiając jako sprzeczną z ludzką godnością” penalizację i prześladowania homoseksualności. O ile jednak ze zwykłymi gejami Kościół jakoś doszedł do ładu – pedały są i tyle, trudno – to z transami ma wyraźny problem, już na poziomie uznania ich istnienia.

Dysforię płciową Watykan opisuje jako „chęć dysponowania samym sobą”, która jest „zalecana przez teorię gender” i stanowi „uleganie odwiecznej pokusie, by człowiek stał się bogiem”. Dla dopełnienia obrazu postępowy dokument Watykanu poświęca osobny rozdział „zmianie płci”, którą stanowczo potępia w lekko bełkotliwym wywodzie mającym ukryć absurdalne skupienie na cielesności za woalem uduchowienia: „Człowiek jest bowiem nierozdzielnie złożony z ciała i duszy, a ciało jest żywym miejscem, w którym rozwija się i manifestuje wnętrze duszy, w tym poprzez sieć relacji międzyludzkich. Stanowiąc istotę osoby, dusza i ciało uczestniczą zatem w godności, która charakteryzuje każdego człowieka. W związku z tym należy przypomnieć, że ciało ludzkie uczestniczy w godności osoby, ponieważ jest obdarzone osobistymi znaczeniami, szczególnie w swojej kondycji płciowej”...

Słynna katolicka obsesja dotycząca genitaliów skłania Watykan do wdania się w zaskakujące szczegóły – jak na dokument poświęcony godności ludzkiej – rozważania na temat umiejscowienia między nogami: „Nie wyklucza to możliwości, że osoba dotknięta anomaliami narządów płciowych, które są już widoczne przy urodzeniu lub które rozwinęły się później, może zdecydować się na pomoc medyczną w celu uśunięcia tych anomalii. W takim przypadku operacja nie stanowiłaby zmiany płci w przedstawionym tutaj znaczeniu”.

Dla porządku: żadna operacja nie stanowi „zmiany płci”; zabiegi korekty służą dopasowaniu ciała do tożsamości płciowej, która jest w głowie



– czy, jakby powiedział Kościół, w duszy – osoby. W odróżnieniu od zmiany wyznania, która jest jak najbardziej wykonalna i którą szczerze zalecamy wszystkim katolikom – zwłaszcza tym, którym postępowy Watykan Franciszka odmawia godności.

Kościół nie przestaje działać

Jeszcze inni rozdział poświęcony jest surogacji, którą Watykan nie tylko potępia w zawitym wywodzie, dającym się sprowadzić do tezy, że jak bóg komuś nie daje dziecka, to mu się nie należy – ale także chciałby zdelegalizować. Dokument cytuje przemówienie papieża do przywódców skiego korpusu dyplomatycznego w styczniu tego roku: „Oczekuję od wspólnoty międzynarodowej działań na rzecz powszechnego zakazania tej praktyki”. Warto odnotować pewną elastyczność dykasterii w sprawach moralnych – pozostającą w sprzeczności z pryncypialnym zapisem punktu 30: „Złudzenie, że relatywizm moralny może być szansą na pokojowe współżycie, jest w rzeczywistości źródłem podziałów i odmawiania godności istotom ludzkim”. W kwestii aborcji – będącej wszak równie wielką obrazą boską – Franciszek nie domaga się globalnego zakazu, bo zdaje sobie sprawę, że duża część świata uznałaby to za bezcelną uzurpację. W kwestii surogacji – będącej relatywnie nowym zjawiskiem, co do którego wielu ludzi nie wyrobiło sobie jeszcze zdania – Watykan bez skrupowania domaga się od świata kodyfikacji prawnej swojego poglądu.

Nawiasem mówiąc, aborcja, surogacja i transpłciowość potępione są w 10 rozwinętych punktach na sześciu stronach tekstu. Za to „nadużyciom seksualnym” poświęcono jeden akapit, w którym dymanie dzieci przez księży zostało wspomniane dość lakonicznie i głównie w celu samousprawiedliwienia: zjawisko to „dotyka również Kościoła” i dlatego „Kościół nie przestaje działać, aby położyć kres wszelkim rodzajom nadużyć, zachynając od własnego wnętrza”.

Uczciwie trzeba powiedzieć, że w dokumencie dykasterii wiele jest zdań słusznych i zasługujących na cytowanie: takich, jak potępienie kapitalizmu z jego apoteozą chciwości czy bezwarunkowa niezgoda na karę śmierci (wyraźny postęp od czasów Wojtyły). Odważny jest – zwłaszcza wobec gromów, jakie spadają na Franciszka w kontekście Ukrainy – protest przeciwko wojnie i głos za pokojem: „żadna wojna nie jest warta utraty życia, choćby nawet jednej tylko osoby ludzkiej”; „bardzo trudno jest dziś utrzymać racjonalne kryteria, które wypracowano w poprzednich wiekach, by mówić o możliwości »wojny sprawiedliwej«”. Jest też sporo słusznych zdań o biedzie, nierówności, sprawiedliwości społecznej, szacunku dla migrantów.

Gdyby Kościół katolicki wyjął głowę spośród ludzi, mógłby stać się instytucją mówiącą sensowne rzeczy na tematy etyczne.

Z drugiej wszakże strony – nadal opowiadałby ludzkości, że w niebie siedzi starzec z białą brodą, który inwigiluje nas w każdej sekundzie, za co powinniśmy być mu wdzięczni. Niewykluczone, że bez dziwaczej seksualnej obsesji Watykanu, więcej przyzwyczajonych ludzi szukających sensu w podłych czasach byłoby podatnych na papistowski zabobon.

Może zatem lepiej niech zostanie tak, jak jest.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Watykan podjął decyzję w sprawie ks. Andrzeja Dębskiego, byłego rektora Archidiecezji Białostockiej. To finał głośnej sprawy sprzed dwóch lat. Do skandalu z udziałem księdza Dębskiego doszło w lipcu 2022 r., kiedy do mediów wyciekła korespondencja kłechy i poznanej przez niego w sieci internautki Oli. Na licznych nagraniach video przesłanych kobiecie ks. Dębski zupełnie nie po chrześcijańsku obiecywał: „Będziesz suką do spełniania moich poleceń, zachcianek. A będzie ich dużo”, „Poczekaj, będziesz pierwszą kobietą w historii wyruchaną w gabinecie metropolity białostockiego”. Jurmy duchowny pełnił wówczas funkcję rektora kurii, był wykładowcą Archidiecezjalnego Wyższego Seminarium Duchownego, kapelanem Jagiellonii Białostok, prowadził też programy telewizyjne, w tym również takie dla dzieci. Po upublicznieniu sadosmachistycznych wyznań ks. Dębski został pozbawiony prawa do wykonywania posług duszpasterskich oraz noszenia stroju duchownego. Ponadto otrzymał od przełożonych nakaz uczestnictwa w terapii i podjęcia pokuty. Od duchownego odciała się Jagiellonia Białostok, a telewizja zerwała z nim współpracę. Jesienią ubiegłego roku pokutnie skruszony ksiądz ogłosił, że gotów jest na nowo podjąć się obowiązków duszpasterskich, jednak jak się okazuje, Watykan skutecznie wyhamował te zapędy. W przekazanym przez kurię białostocką oświadczeniu poinformowano, że Stolica Apostolska nałożyła na ks. Andrzeja Dębskiego czteroletni zakaz publicznego podejmowania wszystkich czynności władzy święceń, a w bonusie otrzymał dwuletni nadzór kuratora kościelnego.

✦ Bepe Marian Rojek, ordynariusz diecezji zamojsko-lubaczowskiej, zakazał działalności wspólnot Domy

Molitwy św. Jana Pawła II oraz Królestwo Dwoch Serc Jezusa i Maryi na terenie tej diecezji. Jak poinformowano w opublikowanym uzasadnieniu decyzji, treści promowane przez te wspólnoty „należy uznać za błędne i niezgodne z Urzędem Nauczycielskim Kościoła, a rzekome objawienia inicjatorce i liderki duchowej ruchów są teologicznie niepoprawne i nie mają aprobaty Kościoła”. Ponadto „jej pisma odznaczają się m.in. takimi cechami jak: (...) promowanie magiczno-rytualnego podejścia do sprawy wiary; sekciarskie poczucie, że członkowie wspólnoty łącznie z »wizjonerką« są jedynymi »wybranymi« i »wiecznymi« w kontekście apokaliptycznych zagrożeń, które mają wkrótce nadejść”. Nie wiemy, co się odjaniepawła we wspomnianych wspólnotach, ale po pierwsze, brzmi zabawnie, a po drugie, patrząc na reakcję biskupa Rojka, przychodzi nam na myśl tylko jedno: przyganiał kocioł gamkowi.

✦ Na karę 1,5 roku pierdła został skazany ksiądz Tomasz Z. z Dąbrowy Górniczej. To pokłosie również głośnej, co brzmiennej w skutki orgii na plebanii jednej z parafii w tym mieście. Przypomnijmy, w sierpniu 2023 r. w mieszkaniu księdza Z. odbyło się spotkanie towarzyskie kilku mężczyzn, w trakcie którego bynajmniej nie spożywano kawy i ciasteczek. Kiedy jeden z uczestników kleszych fikolków stracił przytomność, ratowników medycznych dopuszczono do niego dopiero po interwencji policji. Ks. Tomasz Z. został skazany za przestępstwa przeciwko wolności seksualnej i obyczajności, nieudzielenie pomocy i udzielanie narkotyków. Oprócz kary pierdzenia w pasiak Sąd Rejonowy w Dąbrowie Górniczej zobowiązał duchownego do wypłaty 15 tys. zł zadośćuczynienia pokrzywdzonemu i wpłaty kilku tysięcy złotych na Fundusz Pomocy

Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Wyrok nie jest prawomocny. Według nieoficjalnych informacji ani obrona, ani oskarżenie nie złożą apelacji.

✦ 4 kwietnia decyzją Stolicy Apostolskiej został wydany ze stanu duchownego ksiądz Józef G., który między 2005 a 2006 r. molestował seksualnie 12-letniego ministranta w jednej z parafii w Tarnobrzegu. Sprawę pod dywan próbował zamieść ówczesny biskup diecezji sandomierskiej Andrzej Dzięga, który mimo obowiązku nie wszczął dochodzenia kanonicznego. Kleszy pedofil został klasycznie przeniesiony do innej parafii, a kluczowe dowody w jego sprawie wyparowały dzięki pomocy biskupa Dzięgi. Ofiara duchownego – 30-letni dziś mężczyzna – został poinformowany o decyzji Watykanu 5 kwietnia. Ksiądz Józef G. odbył już karę więzienia i wyszedł na wolność we wrześniu 2023 r. Wydalony ze stanu duchownego może się teraz odwołać od decyzji Stolicy Apostolskiej. Na razie nie wiadomo, czy skorzysta z takiej możliwości.

✦ Biskup Damian Bryl w rozmowie z Katolicką Agencją Informacyjną pozałił się, że decyzja o kapłaństwie kosztuje coraz więcej. Przyczyną słabej frekwencji w seminarium duchownym upatrjuje w społecznej stygmatyzacji kandydatów na księży. „Niektórzy przyznają, że gdy powiedzieli o swoim pójściu do seminarium, to znajomi zablokowali ich w mediach społecznościowych. Zdarza się, że nawet rodzina wyklucza seminarzystę ze swojego grona. Niektórzy z kolei dają nam sygnały, że chcieliby przyjść do seminarium, ale nie mają odwagi, żeby zmierzyć się z reakcją otoczenia, z wykluczeniem i odrzuceniem” – perorował bepe Bryl. Nie rozumiemy, skąd to zdziwienie. Wszak Pismo Święte z wielkim naciskiem podkreśla, że „co człowiek sieje, to i żąć będzie” (Ga 6,8).

KLECHA

Więści na pozytywce pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ **Ideologiczne podstawy dokonywania zbrodni ludobójstwa** są dzisiaj żywotne. Jesteśmy w okresie, gdy w sejmie dyskutowane są cztery ustawy dotyczące zezwolenia na mordowanie nienarodzonych dzieci. To sygnał w rocznicę katyńską, byśmy się zastanowili, dlaczego żadna z nich nie idzie w kierunku ochrony, tylko w stronę zaprzeczenia prawa niektórych do życia.

prof. Jan Żaryn, Radio Maryja, 12 kwietnia

■ Sejm RP jako władza ustawodawcza jest powołany do stanowienia prawa dla dobra Polaków. Poseł Katarzyna Kotuła, Sejm potraktowała tak jak Hitler kwaterę Wolfsschaze i stąd wysłała instrukcję mordowania narodu polskiego.

Barbara Nowak, platforma X, 12 kwietnia

■ Mimo że ten walec potężnych liberalnych mediów, kultury, która przychodzi z Zachodu, aby demoralizować młode pokolenia, my wciąż jesteśmy narodem św. Jana Pawła II i to ziarno, zasiewane przez lata przez Ojca Świętego, przez wielu duchownych, przez Radio Maryja, gdzie przynosi plon. Czasami jesteśmy może przytłoczeni tą beczelnością i arogancją aktywistów aborcyjnych, tej całej agendy tzw. różnokolorowej lewicy, ale gdy przychodzi do sprawdzenia naszych wartości, to Polacy wciąż są za obroną życia poczętego, wciąż



Rys. OBYWATEL JANEK

chcą zdrowych, normalnych rodzin. (...) **Na pewno obecna władza, która prowadzi inżynierię społeczną, chce przekierować nastroje na kwestie światopoglądowe i na agendę seksualną. Oczywiście my, katolicy, nie możemy mówić, że jest to temat zastępczy.**

Jakub Maciejewski (wPolityce.pl), Radio Maryja, 9 kwietnia

■ Po promocji zabijania nienarodzonych cywilizacja śmierci uderza w chorych. Medycyna paliatywna jest na takim poziomie, że skutecznie radzi sobie z bólem. **Eutanazja to dehumanizacja, która jest na rękę systemowi ubezpieczeniowemu i bezdusznym rodzinom chorych.**

ks. Janusz Chyła, platforma X, 10 kwietnia

■ Tak, prawa kobiet są ważne, ale **czemu mają być ważniejsze niż prawa dzieci?**

abp Adrian Galbas, homilia w katedrze Chrystusa Króla w Katowicach, 8 kwietnia

■ **Dziękuję wszystkim, którzy tutaj dzisiaj, na galerii i przy ul. Wiejskiej, stoją w obronie nie tylko dzieci nienarodzonych, ale nas wszystkich. Bo tak to jest, gdy standard cywilizacyjny ulega awarii, zapadli i wedle jakiegoś arbitralnego, rasistowskiego kryterium wydzieliła się grupa obywateli, którzy zostają wyjęci spod prawa, to okazuje się, że nikt nie jest już bezpieczny.**

Grzegorz Braun, sejm, 11 kwietnia

■ **Szkalowanie i niszczenie autorytetów to podstawowa metoda panowania nad współczesnym człowiekiem, któremu elity tego świata chcą odebrać zdolność do właściwej oceny sytuacji, zdolność do odróżniania dobra od zła, prawdy od fałszu, czy rozpoznawania manipulacji. Jan Paweł II jak nikt inny potrafił przekazać to młodzieży, diagnozował wyjątkowo trafnie ich problemy, a rozwiązania, które proponował młodzieży, są aktualne także dzisiaj. (...) **Wojujący ateizm walczy z nim, choć tyle lat minęło od jego śmierci. Używa się przy tym zupełnie chybionych, nielogicznych argumentów, które nie mają żadnego potwierdzenia w materiałach historycznych.****

dr Jolanta Hajdasz (Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich), Radio Maryja, 7 kwietnia

KLECHA



Rys. WIDGET

Publiczne bycie synem lub córką Kościoła daje coraz mniej.

Gdy upadła komuna, największy deficyt przynależności Polaków notowano w międzynarodowych gremiach katolickich. Był popyt, musiała pojawić się podaż. Tak narodziły się katolickie organizacje zawodowe.

Głównie po to, żeby poszwendać się po świecie. Wystarczyło tylko dopaść jakąś listę organizacji międzynarodowych i popatrzeć czy przypadkiem nie brakuje tam reprezentacji Polski. Jak brakowało, to błyskiem zakładało się stowarzyszenie, związek, federację, czy cokolwiek i zgłaszało akces do takiego międzynarodowego gremium. Prezes i parę osób towarzyszących jechali w świat byczyć się za darmo. Zaś przy łucie szczęścia dostawali pieniądze na świetlany rozwój swoich organizacji.

Módl się i...?

Jednym z pierwszych, które na to wpadło, było Katolickie Stowarzyszenie Wychowawców. Na wyjazdach działacze zobaczyli, z czego żyją ich

zagraniczni bracia w fachu i uznali, że zmarnowanie takiej szansy na kasę byłoby grzechem. KSW błyskawicznie przepoczwarzyło się więc z grona modlitewno-konferującego w grupę biznesowo-edukacyjną. Stowarzyszenie wciąż pozostawało „współnotą osób uznających problemy wychowania i kształcenia młodego pokolenia za przedmiot szczególnego zainteresowania i troski”. Ale ponieważ skupiało „w swoim gronie nauczycieli, wychowawców, rodziców, katechetów i duszpasterzy”, to nic nie stało na przeszkodzie, by za przyzwoleniem władz kościelnych i państwowych otworzyć pod swoim patronatem kilkanaście szkół i przedszkoli. Jak najbardziej katolickich, a przy okazji – prywatnych.

Z czasem zapisane w statucie środowisko, czyli „Kościół – Ojczyzna – Szkoła” zredukowano do tego ostatniego. Statutowe zadania, by: „służyć uczniom, wspierać nauczycieli, dbać o własny rozwój duchowy i zawodo-

wy”, skoncentrowały się na słowie „zawodowy”.

Po niemal 35 latach KSW, mimo że według statutu „jest stowarzyszeniem ogólnopolskim z siedzibą w Warszawie”, podaje adres korespondencyjny w Lublińcu w prowadzonym przez siebie zespole szkół.

Zeby kościelni mocodawcy się nie czepiali, raz na ruski rok stowarzyszenie wypływa z siebie jakiś sprzeciw czy inny „protest wobec wprowadzenia tzw. problematyki LGBT do nauczania szkolnego oraz obowiązkowej edukacji seksualnej”.

Ponieważ na świecie była Międzynarodowa Organizacja Prawników Katolickich, to oczywiście musi też być Stowarzyszenie Polskich Prawników Katolickich. Rozkwitało w latach 90. Chciało zakazu aborcji. Usiłowało zdelegalizować pornografię. Pisało kwity w sprawie szybkiej ratyfikacji konkordatu, no i wprowadzenia invocatio Dei do konstytucji. Wylansowało też Zbigniewa Wassermana. Gdy wszyscy katolicki

prawnicy załapali się do struktur nadzorowanych przez Ziobrę, w 2016 r. stowarzyszenie zostało rozwiązane.

Klauzula polecająca

Przynależność do Katolickiego Stowarzyszenia Lekarzy Polskich im. Bł. Ks. Jerzego Popiełuszki dawała i daje niektórym profity niebagatelne. Szpitalami rządzi starostwa albo inni samorządowcy. Starostami i samorządami w większości przypadków zawiadują proboszczowie i biskupi. Skoro tak, to nader często legitymacja KSLP wystarczy, by zostać dyrektorem szpitala lub ordynatorem.

A potem, aby żyć długo i szczęśliwie, wystarczy tylko podpisać się pod zakazem pigułki „dzień po” z powodu tego, że „każdy ma prawo żądać od organów władzy publicznej ochrony dziecka przed przemocą, okrucieństwem, wyzyskiem i demoralizacją”. Albo innymi petycjami przeciwko antykoncepcji, aborcji i in vitro.

Legitymacja Katolickiego Stowarzyszenia Pielęgniarek i Położnych Polskich w szpitalach opanowanych przez katolickich lekarzy może siostrą pomóc. I nieważne, że celem Stowarzyszenia „jest systematyczna praca nad własną formacją duchową i intelektualną oraz godne reprezentowanie i ochrona zawodu pielęgniarki i położnej, a także troska o tradycję zawodu i jej kontynuację”. Istotne jest to samo, co w przypadku lekarzy. Katolicka pielęgniarka ma w katolickim, czyli samorządowym szpitalu lepsze perspektywy zarobkowe i zawodowe. A na dodatek nie musi się podpisywać pod żadnymi apelami.

Stowarzyszenie Farmaceutów Katolickich Polski posiada swoje koła w Bydgoszczy, Gdańsku, Poznaniu, Warszawie, Lublinie, Rzeszowie i Łodzi i liczy nieco ponad 100 członków. Jeśli jednak, na któregoś się trafi, mogą być problemy. Bo to właśnie SFKP w 2017 r. wystąpiło do sejmiku o wydanie zgody na możliwość za-

Kościół w oczach katolika.

Kroniki czasu zarazy

Krakowski historyk idei Bronisław Łagowski przed laty mądrze zauważył, że dbamy tylko o sensowność opinii ludzi, na których zdaniu nam zależy. Jak nasi przeciwnicy plotą trzy po trzy, to może nawet się i w duchu cieszymy – zrobili wszak swojej sprawie niedźwiedzią przysługę, więc na ich tle nasze słowa jawią się jako bardziej rzeczowe i racjonalne.

Z tego względu prawdziwą radochę mam, gdy kolejny purpurat albo natchniony Duchem Świętym klecha ukazuje miałość swych poglądów stanowiących mieszaninę głupoty, zacietrzewienia i pogardy, a to wszystko podlane takim rozległym jak Pacyfik oceanem hipokryzji skutecznie odstręczającym od tej instytucji co porządniejszych ludzi.

Nie będzie odkryciem stwierdzenie, iż kler w dupie ma to, co piszemy w „NIE”. Z definicji nieomal nasza niechęć tylko go utwierdza w słuszności obranej linii. Każdy wie, że krytyka zewnętrzna to co najwyżej lekkie przeziębienie, zaś tylko i wyłącznie krytyka wewnętrzna może być zapaleniem płuc, a nawet – co nie daj Boże! – chorobą śmiertelną. Bo kiedy ktoś z uporem godnym lepszej sprawy podkreśla, że chodzi mu czy jej o dobro Kościoła – choć tu tkwi oczywista pułapka, bo nie jest do końca jasne, co tym Kościołem jest, a co już nim nie jest – robi się sytuacja z gatunku tych kłopotliwych.

Problemem dla polskiego Kościoła jest wydana właśnie kobyla (w wersji elektronicznej grubo ponad 800 stron) pt.: „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem”. Jej autorem jest Ignacy Dudkiewicz, który od lat prowadzi w stolicy magazyn lewicowych katolików „Kontakt” powiązany z miejscowym Klubem Inteligencji Katolickiej. Nie dziwi mnie to, skoro mój dobry kolega lewacki z Żoliborza opowiadał, że aktywni u niego są agromuniści (podkreślający, że przyszłość lewicy tkwi w bulwach, a nie zbożach, z których łatwiej wydobyć nadwyżki produkcji), to społeczne rozpasanie i dekadencja może znaleźć wyraz w lewicy katolickiej, zapewne równie nielicznej, co owe wioskowe komuchy.

Gzyści jak iza

Książka rozpoczyna się – zgodnie z zaleceniami Hitchcocka – od trzęsienia ziemi, a następnie napięcie rośnie. Preludium rozważań jest wizyta w rezydencji emerytowanego abp metropolity wrocławskiego Mariana Gołę-

ALLELUJA I DO PRZODU...
JAK MAWIAJĄ
HOMOSEKSUALIŚCI



Rys. TOMASZ WINTER

Zgodnie z najlepszą tradycją został przeniesiony do diecezji bydgoskiej. I – tu mała niespodzianka – choć jego przełożeni wiedzieli o ciężących na nim zarzutach, skierowali go do opieki nad ministrantami w parafii pod wezwaniem Opatrzności Bożej i do prowadzenia katechezy w gimnazjum. Kania kontynuuje swoje polowania na dzieci, szukając tych najsłabszych ofiar, w których wzbudza szacunek – jest miły i słucha, komplementuje – po czym wykorzystuje seksualnie dzieci, a niektóre po wielokroć gwałci.

Dopiero w 2013 r. pod naporem mediów Gołębiewski zgłasza sprawę Watykanowi. Charakterystyczna jest wymiana zdań Dudkiewicza z emerytowanym hierarchą:

Z zawodu katolik

„– A ma sobie ksiądz coś do zarzucenia w sprawie Kani?
– Nie. Wysłałem do Watykanu powiadomienie. Nie uzgadniałem jego wyjazdu do Bydgoszczy. Za wikariuszy był odpowiedzialny biskup Janiak, on to ustalał.
– Ale to ksiądz był ordynariuszem.
– Oczywiście jako metropolita zgodziłem się na ten wyjazd, więc ostatecznie odpowiedzialność spada na mnie. Ale niczego sobie nie zarzucam”.

Martyrologia, której nie było

Wielu obserwatorów postsolidarnościowych, szczególnie pamiętających czasy Polski Ludowej, przyjęło za pewnik, że Kościół w czasach komuny zapisał chlubną kartę, walcząc o wolność, niezależność i swobody obywatelskie. Był ostoją niezłomnej walki z narzuconym przez Związek Radziecki realnym socjalizmem. No i wiadomo, że to Jan Paweł II obalił komunizm w naszym kraju i na całym świecie.

Istnieje wersja tej opowieści na dopalaczach, powszechnie obowiązująca na prawicy, która wywodzi z niej konieczność sprawowania przez katolicyzm władzy nad narodem, wszak tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem, Polska będzie Polską, a Polak Polakiem. W owej optyce każdy ksiądz do super-Polak, człowiek nieomalże święty, reprezentujący Pana Boga – a może raczej Matkę Boską – na tym ziemskim padole łez i rozpacz. A biskupi odwiedzają się troską o ojczyznę.

Doskonale ukazują to słowa bp Wiesława Merińskiego z 2013 r. wyrażone w homilii „Nasz kraj potrzebuje bożych wartości”: „Mogę zmieniać świat, zmieniając siebie. Mogę kochać świat, miłując ziemię rodzinną. Mogę ubogacić świat, wnosząc klucz wartości, które wyniosłem z rodzinnego domu. To jest obowiązkiem chrześcijanina. (...) Od wielkich prymasów chcemy się uczyć wartości, by nimi służyć Polsce, rodzinie i Bogu. Nie wierzymy bowiem, by możliwa była prawdziwa troska o człowieka bez fundamentu, jakim jest wiara w Boga”.

Ciekawym wątkiem „Pastwiska” jest demitologizacja wizji stosunków państwo-Kościół w PRL-u. Służy temu rozmowa z Andrzejem Friszkiem, zaangażowanym katolikiem, ale nade wszystko wybornym znawcą najnowszych dziejów naszego kraju. Historyk podkreśla złożoność relacji państwo-kościelnych, ich zmienność w czasie i generalnie chęć do jakiegoś znośnego ułożenia spraw, aby obie strony były w miarę zadowolone. No i trudno zaprzeczyć, że właśnie wzorcowo wypracowane w Polsce Ludowej, okresie młodości rządzących dziś Kościołem, są powielane. Zachowanie się nie zmienia, jakkolwiek zmieniały się warunki.

Kiedy dziś czci się wyklętych, podkreśla się ich religijne zaangażowanie, kontrastujące z bezbożnymi diabelskimi, ateistycznymi siłami, które opanowały kraj po II wojnie światowej. Tu warto zacytować znaczący fragment książki: „Do 1949 roku władza starała się z Kościołem żyć w zgodzie. Próbowano odizolować go od czynnej opozycji, zneutralizować, sprawić, żeby nie walczył z ustrojem. Ale wrogość wobec Kościoła? Broń Boże! To zawołanie wcale nie na wyrost. Obchody 1 maja rozpoczynały się mszą z udziałem naj-

ZA MUNDUREM DZIECI SZNUREM



Rys. TOMASZ WIATER

ważniejszych dygnitarzy. Kolejne budowle były poświęcone podczas otwarcia. A ówczesny prezydent Bolesław Bierut czy wicepremier Piotr Jaroszewicz w Boże Ciało chodzili z kardynał Hlondem... pod jednym baldachimem”.

Lawendowa mafia

Jednym z tematów, który rozpała polski Kościół jest homoseksualność. Mają sporo o nim do powiedzenia i nieliczni postępowi katolicy – w tym ci z Fundacji Wiara i Tęcza (skupiającej chrześcijanki i chrześcijan spod znaku LGBT+) – i znacznie bardziej liczni tropiciele „homolobby”, „lawendowej mafii” czy „Sodomy” w szeregach kleru, obwiniający gejów w sutannach za pedofilię i wszelkie zło tego świata.

Przy czym dominuje inna postawa. Jej ucieleśnieniem jest wspomniany powyżej abp Gołębiewski. Na pytanie, czy relacje homoseksualne – i wiążąca się z nimi atmosfera podwójnego życia i haków – wpłynęły na sposób reagowania na przypadki pedofilii wśród księży, odpowiedział z rozbrajającą szczerością: „Ja się z tym nie spotkałem. Byłem wychowany w normalnych warunkach, to było mi obce, nie miałem pojęcia, że tak może być, co to jest homoseksualizm. Ale jak byłem rektorem w seminarium, to bezwzględnie oczekiwałem, że klerycy będą dla dobra wspólnoty donosić mi o trzech rzeczach: nadużywaniu alkoholu, skłonnościach homoseksualnych oraz współpracy z władzami PRL. I bywało: jeden kleryk miał zdjęcia i podsuwał je pozostałym, inny diakon uwodził kleryka i wysłał mu list miłosny. Wywalałem z seminarium. To mi uświadomiło, że takie zjawisko jest. A posądzenia i plotki to zawsze chodziły”.

Niezawodny ks. Dariusz Oko mówi, że pod wieloma względami Kościół „jest jakby pod okupacją czy też pod dominacją homomafii”. Oko jest sprytny – wciąż podkreśla, że jego stanowisko jest zgodne z nauczaniem kolejnych papieży, nigdy też nie wyjaśnia, jak to możliwe, że ta gejowska mafia oplata swymi tęczowymi mackami Kościół, a Stolica Apostolska nie stanowi epicentrum homolobby, co skądinąd różni teorie ks. Oko od dobrze udomkowanej książki Frédérica Martela, „Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie”.

Najzabawniejsze, że nawet Oko bywa na wskroś racjonalny, wskazując, że wielu gejów, wraz z emancypacją osób homoseksualnych, nie będzie – jak to bywało w przeszłości – szło do seminariów duchownych, bo już nie muszą się ukrywać i wstydić własnej orientacji.

Droga do piekieł?

Los Kościoła jako instytucji w Polsce nie jest mi obojętny – im będzie on słabszy, tym lepiej, bo co do zasady to siła reakcyjna i siedlisko najgorszej podłości – jednakże rozumiem tych wszystkich, jak naczelny „Kontaktu”, którzy chcieliby Kościół otwartego i postępowego. Ubogiego.

Takiego, co pomoże imigrantom, a nie będzie robił mszy dla prawych szurów. Którego pobłogosławi parom LGBT+, a nie będzie szerzył nienawiści do gejów i lesbijek. Mówiącego po ludzku, a nie klepiącego wzniosłe frazesy, w które w gruncie rzeczy nikt nie wierzy, włącznie z osobami w kieckach, które je głoszą. Opowiadającego się za słabymi, prześladowanymi i ciemieżonymi, a nie pławiącego się w luksusach i ceniącego to, co – by zacytować słynną kwestię z „Kleru” Wojtka Smarzowskiego – „złote, a skromne”.

Warto jednak pamiętać, że tylko słynny fantast baron Münchhausen sam wyciągnął się za włosy z bagna. Dudkiewicz zdaje się potwierdzać słynną frazę Tertuliana: „wierzę, bo to absurd”. Krok po kroku pokazuje, że skostniały Kościół instytucjonalny jest niezdolny do zmian strukturalnych, a jednocześnie sądzi, że może drastyczny spadek religijności młodych go otrzeźwi.

Przed laty w polskim społeczeństwie mówiło się – co odczuli z pewnością niektórzy czytający ten artykuł – że do głowy dziecka można się dostać tylko przez dupę. Czyli je lać. W „Pastwisku” pojawia się istotny wątek – fajnie rezonujący z myśleniem marksistowskim – że

do głów hierarchów można być może do-trzeć wyłącznie przez ich portfele i drastyczne ubytki w dysponowanych przez nich funduszach. Jak kasa zacznie świecić pustkami, spokojnieją.

Ale jak mawiał Stalin, w miarę postępu w budowie komunizmu, nasila się walka klas. Więc w obliczu wysychania źródła dla dobrowolnych – co łaska, nie mniej niż tysiąc złotych – wpłat wiernych, klechy coraz mocniej będą naciskać, aby to państwo (w tym ateści,

agnostycy, innowiercy i wierzący tylko w siebie) przejęło jak najwięcej kosztów funkcjonowania kościelnych dzieł. Parafrazując Urbana, biskupi się sami wyżywią, a los jakichś nieszczęśników w popegeerowskich parafiach już teraz skądinąd nie im spędza snu z powiek.

Jak pokazały własne wybory samorządowe, nie czas składać PiS-u na katafalku, a kiedy Episkopat zobaczy, że tylko powrót tej formacji uchroni Kościół przed ruiną finansową, kościoły staną się przybudówkami religijnymi partii Kaczyńskiego i Czarnka. Purpuraci łatwiej zrezygnują z dziewięciu na 10 przykazań Dekalogu, aniżeli z jednej dziesiątej swych dochodów. Szerzyć więc będą, zgodnie z Ewangelią, Dobrą Nowinę, ale przykazanie miłości obejmujące również miłość do Prezesa, który wszak jest nie tylko naszym bliźnim, ale nawet dzieckiem bożym. Nie takie rzeczy Kościół w swej historii uzasadniał... I przetrwał nie tylko mimo tego, lecz dokładnie właśnie dlatego!

„Pastwisko” to głos wołającego na puszczy, bo szansa – albo, jak kto woli: zagrożenie – że posłuchają go przeciętni katolicy, nie wspominając o hierarchach, są mniej więcej jak wygranie szóstki w lotto. Dudkiewicz z pewnością ma dobre intencje, lecz wiadomo, że nimi jest wybrukowana droga do piekieł.

Może i przyszły Kościół będzie naturalnym sojusznikiem lewicy, ale raczej ulega on, jakby powiedział Zygmunt Bauman, upłynnieniu, fragmentaryzacji. Więc w dużych miastach przybędzie grup tęczyowych katolików, a po wsiach – grup innych katolików, którzy tych gejojskich wierzących najchętniej by utopili w tyżce wody.



Rys. TOMASZ WIATER

Jeśli na tym pastwisku nie będzie pasterzy w dziwnych czapkach i kolorowych sukienkach, to boże krówki i byczki rozbiegną się i pogalopują w swoją stronę. Kościół bez monarchicznej struktury, twardego łańcucha dowodzenia, to – tu przyznajmy rację konserwatystom – oksymoron, wewnętrzna sprzeczność.

Rodzime klechy jako grupa są głęboko uzależnieni: od pieniędzy, szacunku, wpływów, a często i bezkarności. Kiedy uświadomią sobie źródło swego nałogu, odetną się od szkodliwych substancji i zachowań, osiągną – niczym alkoholicy – swoje dno i będą mogli rozpocząć proces uzdrowienia.

I wtedy będzie koniec balu, panno lal!

ZUZANNA JURCZYŃSKA



Rys. WIDGET

stania się klauzulą sumienia. Ku zdziwieniu wszystkich nawet PiS temu nie podjął.

Statut katolickich farmaceutów stanowi, że „duchową opiekę nad stowarzyszeniem sprawuje kapłan zaakceptowany przez Jego Eminencję Księdza Prymasa”. Tym, co spędza katolickiemu aptekarzowi sen z powiek, jest więc brak w prawie farmaceutycznym zapisu, który pozwałaby aptekarzowi na „powstrzymanie się od wykonywania praktyk zawodowych niezgodnych z jego sumieniem”. Zna-

czy się mógłby – bez widma utraty pracy – nie sprzedawać legalnych środków medycznych. Z tego chciejstwa stowarzyszeniu pozostało tylko hasło wyświetlające się na jego stronie internetowej: „Jeśli szukasz pracy w aptece pro-life, napisz do nas!”

Gdyby do zawodów związanych z medycyną komuś brakowało laborantów, to proszę bardzo. Trzy dni po wyborach 15 października w Lublinie zarejestrowano Katolickie Stowarzyszenie Diagnostów Laboratoryjnych. Od tej pory o katolickich laborantach

nikt nic nie wie. Więc może nie wystąpią z propozycją klauzuli sumienia i nadal będą szukali pozostałości lamblii w kale?

Modlitewnik za budżet

Katolicki kolejarz tym różni się od niekatolickiego, że należy do Katolickiego Stowarzyszenia Kolejarzy Polskich. Musi zatem realizować zapisane w statucie cele, czyli „kształtowanie życia ludzi świeckich związanych zawodowo z kolejnictwem w oparciu o chrześcijańską koncepcję człowieka i świata, ujętą w społecznym nauczaniu Kościoła Rzymsko-Katolickiego oraz w zgodzie z polską tradycją narodową”.

Klepanie pacierzy zamiast kół i szyn, jest jedyną – obok tekstu w obronie imienia JP II – pozapielgrzymkową formą aktywności stowarzyszenia. Najgorsze, że bilety kolejowe na pielgrzymki są dla członków organizacji kilkanaście razy droższe, niż gdyby chcieli do Częstochowy pojechać samemu.

Do członkostwa w Katolickim Stowarzyszeniu Dziennikarzy kilka lat temu przyznawało się ponad 500 osób. Bycie członkiem KSD wymagało „czynnego udziału w ewangelizacyjnej misji Kościoła, troska, by postępowanie dziennikarzy było

zgodne z etyką katolicką i zajmowania stanowiska w sprawach publicznych”. No i kieszka. Dziś na stronie organizacji można przeczytać, że „od ok. 12 lat KSD nie miało szczęścia do skutecznego, silnego zarządzania. Wciąż pojawiali się chętni do władania kosztem wartości i celów obowiązujących statutowo. Z niewyjaśnionych powodów, nie podjęto żadnych starań o rejestrację nowego składu. KSD po prostu od 2019 r. nie zaistniało. I to teraz, gdy w tak trudnym czasie dla Kościoła i Polski samej, nowe teksty byłyby przydatne. Poważne kuratora KRS. Prosimy o cierpliwość”.

Bartłomiej Sienkiewicz winien zauważyć, że internetowa strona prowadzona przez biznesmenów ze Stowarzyszenia Wydawców Katolickich można oglądać dlatego, że została dofinansowana przez eks-ministra Głińskiego z Funduszu Promocji Kultury. Dofinansowanie jest o tyle dziwne, że SWK zrzesza firmy drukujące to, co zlecają kurie. Nakłady samych książek do religii idą w setki tysięcy. Do tego dochodzą sprzedawane w przykościelnych sklepach bestsellery reklamowane przez proboszczów i prasa katolicka. To wszystko obskakuje 40 bardzo bogatych wydawnictw.

W składzie stowarzyszenia, liczącego sobie 67 członków, 38 osób to du-

chowni. Tak jak wszyscy członkowie zarządu.

Przykościelnych stowarzyszeń zawodowych nie ma w Komisji Trójstronnej. Ani po stronie związkowej, ani pracodawczej. Bo nie muszą być. Katolicy działacze potrzebni Kościołowi są tylko jako sygnatariusze biskupich protestów.

I po to,

żeby biskupi mogli opowiadać dyrdymały, że organizacje katolickie skupiają ponad 4 proc. Polaków, czyli ok. 1,5 mln osób. Te zaś działać mają w ponad 150 większych ruchach oraz ponad 1000 mniejszych stowarzyszeń i fundacji katolickich.

TOMASZ BOROWIECKI

Wódka szkodzi.

Palikot biznesu

Cóż, problem jest jak 300 mln zł, których Janusz Palikot obecnie nie ma, a miał według rankingu stu najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost” z 2005 r. A dokładniej – jak minus 300 mln zł, które ma obecnie. Liczby te umieszczone na osi rzędnych dają wartość bezwzględną 600 mln zł, o którą to kwotę majątności Palikota zmniejszyły się przez ostatnie 19 lat.

Pisać o Januszu Palikocie jest mi łatwo, ponieważ popieraliśmy go jako kandydata na prezydenta RP. Trudno, ponieważ popieraliśmy go jako kandydata na prezydenta RP. Łatwo, ponieważ mój były szef Andrzej Rozenek był rzecznikiem Ruchu Palikota. Trudno, ponieważ mój były szef Andrzej Rozenek był rzecznikiem Ruchu Palikota. No i w końcu łatwo, ponieważ Palikota trochę znam. Trudno też niestety, ponieważ Palikota trochę znam. Mam nadzieję, że jasno wyłożyłem powody ambiwalencji.

Cudowne dziecko transformacji

Zacznijmy od Biłgoraja (w którym się urodził z matki księgowej) oraz pierwszych sporych pieniędzy, jakie zarobił będąc jeszcze na studiach, specjalnie się nie przemęczając. Pracując w spółdzielni studenckiej organizował dla Baltony (takiej sieci sklepów, w których w PRL kupowało się za dolary) dostawy europalet. W rezultacie modelowej polskiej transformacji Baltona podupadła. Zarazem jej zachodnioeuropejscy partnerzy stracili źródło tanich i dobrych palet zbitych z roztoczańskich desek za pomocą radzieckich gwoździ. Ale na owych paletach polscy stolarze wypalali swoje ex librisy, dzięki czemu Niemcy dotarli do Palikota proponując mu, aby się sprawą zajął.

Ten, jak sam wspomina, raz na dwa tygodnie objeżdżał miejscowych chłopów, odbierając europalety, które sprzedawał na zachód. Pozostałą część życia poświęcał studiowaniu filozofii, co potrzebne mu było, aby uzyskać z niej magisterium.

VIP

Zatem jak to w przypadku wielu polskich biznesmenów bywało, pierwsze wielkie pieniądze pojawiły się w życiu Palikota same. W ilościach niewyobrażalnych dla ludzi żyjących z pracy własnych rąk lub głów. Bez żadnych biznesplanów, kalkulacji, zarządzania strategicznego, stóp zwrotów, miksów marketingowych, badań rynków i tych wszystkich mądrych instrumentów, o których uczą na Harvard Business School.

Tak naprawdę w takich przypadkach sprawę bardzo skomplikowane oraz niepojmowalne okoliczności dzieją się w sposób niewyobrażalnie szybki, a biorący w nich udział traktują je jak oczywiste oczywistości. W całej swej niespostrzegawczości mniemając, że tak być po prostu musi. Potem już pieniądź zaczyna robić pieniądź.

Co zarobił Palikot ze współnikami na wyzysku pracy chłopów, zainwestował w import win i szampanów przy założeniu – słusznym swego czasu – że w Polsce, gdzie ludzie mogą wypić nawet politurę do drewna, na alkoholu nie można stracić.

Sami też wymyślili etykiety na szampana Dorato i udając Martini wina Cin-Cin.

W kolejnej transformacji forsa z wina wydana została na zakup od skarbu państwa Polmosu Lublin. Legenda głosi, że spółka Palikota kupiła zakład za równowartość pieniędzy, jakie były na jego koncie. Wielki egzystencjalny sukces. Który mężczyzna w tym kraju nie chciałby mieć własnej fabryki wódki w wieku 37 lat?

Lider Żołądkowej

O ile inne byłe Polmosy stacają się wtedy lub sprzedają zagranicznym potentatom branży alkoholowej, lubelski kwitnie dzięki wynalazkowi wódki Żołądkowej Gorzkiej. Rzekomo autorskiej receptury samego Palikota, ale są tacy, którzy utrzymują, że on jedynie przywrócił na rynek istniejącą od dawna markę. Udział w polskim rynku alkoholi wysokoprocentowych Lublin zwiększa z jakichś promili do 10 proc.

Wódkę pijam sporadycznie, bo jej nie lubię. Trudno mi zatem zrozumieć, dlaczego ludzie polubili coś, co miało być „gorzkie” i „żołądkowe”. Może z przekory, a może rzeczywiście była dobra?

Godziwe przychody pozwalają Palikotowi wprowadzić Polmos Lublin SA na giełdę. No i wtedy Palikot staje się prawdziwym kapitalistą żyjącym z dywidendy od posiadanych akcji. To sprawa, że bankowość komercyjna patrzy na niego z nadzieją i daje kredyty obciążone nawet nieco większym ryzykiem niż zazwyczaj. Teraz Palikot zaczyna biznes w najwyższej klasie polegający na lanczach, branczach, bankietach, brifingach. Trafia do rad biznesów, biznes klubów, stowarzyszeń pracodawców, gdzie interesy za dziesiątki milionów robi się przy kawie i zatwierdza uściśkiem dłoni. Potem jest Krzyż Zasługi (złoty) za działalność na rzecz rozwoju polskiej gospodarki. Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis (srebrny) za namawianie nowobogackich kapitalistów do mecenatu na rzecz ludzi kultury i sztuki, których punktem honoru jest żyć w biedzie.

Żądza władzy

W końcu zamożny filozof nie mógł nie zauważyć, że prawdziwy postęp dzieje się za sprawą polityki. Dostał się tamże, kupując miejsce na listach wyborczych Platformy Obywatelskiej. Nie, nie! Nikt forsy nie dawał i nie brał bezpośrednio. W czasach, kiedy polityki nie można było opłacać z pieniędzy podatników, każdy sponsor był na wagę zwiaststwa. Palikot sfinansował wydanie, a może nawet napisanie książki Donalda Tuska „Solidarność i duma”, która – tak szczęśliwie się złożyło – wyszła akurat przed wyborami prezydenckimi w 2005 r. Zanim zaczęła się kampania wyborcza wszystkie dworce kolejowe w Polsce oplakowane były banerami z twarzą Donalda (jako autora na okładce) rzucającego światłość w ciemności obłąkanego świata.

Tak Palikot został posłem Platformy. Najbardziej rozpoznawalnym zresztą, dzięki niekiedy

żenującym, niekiedy ekstrawaganckim występom – w każdym razie zapadającym publiczności w pamięć. Zapewne wtedy przychodzi mu do głowy, że sam mógłby być przewodniczącym PO, nie mogąc lub nie chcąc zrozumieć starego niemieckiego porzekadła: „Es gibt nur einen Führer”.

Na swoim

Wobec tego niezrozumienia Palikot występuje z PO, stając się posłem niezależnym. Zakłada też własną partię pod szyldem Ruchu Palikota, która w wyborach w 2011 r. wprowadza do sejmu 40 posłów. To jednak za mało, aby implementować swój program lub przynajmniej niektóre dobre w gruncie rzeczy pomysły.

Środowiska lewoskrętne, także i my – w kontekście coraz bardziej pogrążającej się socjaldemokracji – postrzegamy Palikota jako obiecującego kandydata na prezydenta RP w 2015 r. Jerzy Urban zaryzykował nawet proces z red. Rafałem Ziemkiewiczem, który za to, że obraził Palikota gdzieś na łamach, został obrażony przez Urbana sformułowaniami, pośród których „pierdolony gad” było najłagodniejsze. Ziemkiewicz miał jed-

– żeby nie mówiono, że dla interesów – sprzedaje akcje Polmosu. Żyje z karty płatniczej. Nie jest też posłem zawodowym w tym sensie, że nie pobiera diet (w każdym razie było tak za czasów członkostwa w PO). Historia polityczna Palikota kończy się w 2017 r., kiedy oświadcza na własnym blogu, że rezygnuje z polityki. Jego partia ostatecznie rozpadła się w roku minionym.

Powrót do tej samej rzeki

Oczywiście Palikot ma problem, co dalej robić w życiu poza filozofowaniem. Logicznym się wydaje, że trzeba się zająć tym, na czym zna się człowiek najlepiej. A jest to alkohol.

Palikot kupuje za swoje, pożyczone i zebrane od ludzi przez internet pieniądze Browar Tenczynek. Zatrudnia najlepszych macherów bimbowania, geniuszy od projektowania butelek, doskonałych copywriterów, specjalistów od mediów społecznościowych, gwiazdy filmu, sportu, telewizji i estrady. Wszystkim płaci swojego czasu bardzo motywujące honoraria. Również udziałowcom obiecuje niespotykany na rynku finansowym zwrot z kapitału. Nawet się początkowo wywiązuje. Co mogłoby iść nie tak w sytuacji, kiedy spożycie alkoholu w Polsce ostatnimi laty wzrosło rocznie z ok. 7 l do ok. 9 l spirytusu na twarz?

Innowacyjne produkty robione przez najlepszych ludzi w warunkach wzrostu – teoria biznesu nie przewiduje bankructwa w takich okolicznościach, ponieważ teoria biznesu jest... zła. Wszystkie te historie o self-made manach, którzy siłą woli, determinacją, wizjonerstwem, sprytem i inteligencją do fortun dochodzą sami, są zazwyczaj tylko w części prawdziwe. Ich fałsz polega bowiem na tym, że pozabawione są faktów, które miały znaczenie, a nie zostały spisane, zatem pozostają powszechnie nieznanne. Logika akademickiej przedsiębiorczości opierająca się na zasadach przyczyn i skutku nie bierze pod uwagę pewnych nadrzędnych praw obowiązujących ludzi i wpływających na ich losy. Wspomina o tym co najwyżej półgębkiem. Na ostatniej stronie w przypisie dolnym.

Piramida w budowie

Nigdy nie jest i nie było tak, że ludziom w życiu wszystko się udawało. Dobra passa każdemu się kończy, a na końcu jest zawsze upadek.

Generalny problem tenczyńskiego biznesu Palikota jest zasadniczy: jego dobre, jak mniemam produkty, po prostu się nie sprzedają w zadowalających ilościach i nie ma na to logicznego wytłumaczenia. Ludzie tego nie kupują. To jest po prostu magia, w której istnienie większość z nas nie wierzy. Ci, którym zdarzyło się z nią zmagać, stwierdzają co najwyżej: „nikt nie wie, jak to działa”.

Zapewne początkowo szarżując z wydatkami i obietnicami Palikot nie miał intencji wystawienia do wiatru inwestorów. No ale skoro nie zaskoczyło, trzeba było dosypać gotówki do systemu, bo przecież zaskoczyć musi. Potrzebni byli inni inwestorzy, którym trzeba było obiecać jeszcze więcej i tak dalej. Na tym etapie mógł już przypuszczać, że stawia piramidę finansową, bo z buchalterii wynikało, że stare zobowiązania spłacane są wpływami z nowych zobowiązań.

Ale spojrzyjmy na sprawę z obu stron. Po pierwsze, nie wszyscy na tym biznesie stracili. Ci, którzy weszli pierwsi i wyszli we właściwym czasie, są zarobieni. Jak ktoś jest rozsądny i ma nadwyżki gotówki, nie powinien spodziewać się, że zarobi trzy razy więcej niż na lokacie bankowej, inwestując w środki odurzające. A każda inwestycja to nie tylko imperatyw zysku. W biznesie dopuszczalne są straty i zasadniczo zdarzają się one częściej niż zyski.

Można współczuć Januszowi Palikotowi, że stracił dom, zapewne mniej lubi go żona, a niektórzy znajomi nie odbierają telefonów. Ale zapewne pogłoski medialne, że zabezpieczył się na czarną godzinę, nie są zupełnie wyssane z palca.

I w końcu sprawa fundamentalna dotycząca całego tego biznesu alkoholowego: biorąc pod uwagę wszystkie za (nie jesteśmy w stanie żyć bez używania alkoholu) i przeciw (jednak jego spożycie wyrządza szkody społeczne, medyczne i na drogach oraz poczytajcie sobie te ulotki Towarzystwa Trzeźwości im Brata Alberta), produkcja okowity nie jest metodą właściwego zarabkowania, o czym wiedzą nie tylko ludzie tak świątliwi jak Janusz Palikot. Wszelkie ograniczenia i sankcje nakładane na tę z pozoru dochodową branżę wynikają właśnie z jej ciemnej strony.

Załużę tych, którzy Palikotowi zaufali, jak również jemu samemu współczuję nieewidentnej pomyłki, którą okazuje się Browar Tenczynek ze swoimi produktami: Wódką WyBUHową i Wódką Wyjebongą.

Ale, czyżbyście nie widzieli tego sloganu reklamowego: „Uwolnij w sobie bestię by wódka Palikot”? No to żęście uwolnili. Teraz was sponiewierała. Słowa mają moc.

ROBERT JARUGA
robert.jaruga@doborowa.com.pl

Tekst ten, z wdzięcznością moim niezawodnym informatorom, którzy donieśli mi, że Janusz Palikot stworzył piramidę finansową. Dysponuję materiałami uwierzydnajającymi siebie, a dyskredytującymi rzeczzonego.



rys. JANUARY

nak – na szczęście dla siebie – tyle rozumu, żeby Urbana nie pozywać.

Następnie Palikot, co wypominają mu do dziś towarzysze partyjni, porzuca intuicję na rzecz rozumu. Zaczyna kalkulować:

**jeżeli za jednego euro –
posła dostanę zwrot tyłu
a tyłu milionów euro
z Parlamentu Europej-
skiego, a muszę wpro-
wadzić przy sonda zo-
wym poparciu „n”
posłów, no to warto się
zadłużyć na kampanię
wyborczą, bo potem
wszystko się zwróci.
Niestety, te obliczenia
poprawne w Excelu zwe-
ryfikowała empiria na
niekorzyść liczącego.**

Partia Palikota popada w długi. Jego osobisty majątek przez lata topnieje. Przed wejściem do polityki

R E K L A M A

**PO WYBORACH
GDZIE JESTEŚ, LEWICO?**

**POLACY
W SIECI INWIGILACJI**

**BIEDA W PAŃSTWOWEJ
INSPEKCJI PRACY**

**JOLANTA CZARTORYSKA
MOJA PROKURATURA**

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

Co dalej z Ukrainą?

**POUFNE
NEGOCJACJE**

Rozmowy z mistrzami

Przeprowadziłem setki wywiadów ze sportowcami. Nie wszystkie były udane.

Wśród zasad, które wpajali mi nauczyciele zawodu, była i taka, że nie ma złych rozmówców, kiepski może być tylko dziennikarz. Więcej, prowadzący rozmowę nie powinien zdradzać okoliczności, w jakich przebiegała. Czy sportowiec się jąkał, czy odpowiadał monosylabami, czy dłużej w nosie – wszystko ma pozostać między zainteresowanymi. To tajemnica zawodowa. Nie będę więc teraz zdradzał takich szczegółów, ale o okolicznościach przeprowadzenia niektórych wywiadów opowiem. Krótko mówiąc, nie zawsze było łatwo i przyjemnie.

Pracowałem wówczas w dziale sportowym „Trybuny Ludu”, centralnego organu przewodniej siły narodu. Wszystko, co ukazywało się na tych łamach, było święte i nie podlegało żadnej krytyce. Z opowieści wiem, że w czasach stalinowskich potrafiono nawet zmienić liczbę w jakimś planie gospodarczym z powodu błędu korektorskiego w najważniejszej gazecie. „Trybuna Ludu” nie mogła się przecieć mylić. Mnie przyszło żyć w innych czasach.

Był nawet taki (co prawda bardzo krótki) okres, w którym krytyka prasowa była jak najbardziej dopuszczalna, nie wolno było tylko źle pisać o Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, wojsku, milicji, a także – co może zaskoczyć wiele osób – o Kościele katolickim. Nam, prostym dziennikarzom, a już zwłaszcza sportowym, nakazano trzymać się od Kościoła z daleka. Wzajemne rozgrywki między dygnitarzami partyjnymi a kościelnymi należały do kompetencji ścisłego grona ludzi bardziej uświadomionych politycznie od nas, szaraczków.

Jedną z niewielu ingerencji cenzury w moje teksty związana była z reportażykiem z niewielkiej wsi. Wyniki lokalnej drużyny piłkarskiej ogłaszano zarówno na tablicy ogłoszeń gminnych, jak i parafialnych. Chciałem w ten sposób pokazać popularność chłopaków z ludowego zespołu sportowego. Miało to jednak rzekomo ośmieszać Kościół powszechny. Takie mieliśmy wówczas dziwne czasy.

Dupa króla strzelców

W okresie ogłoszonej przez ekipę Edwarda Gierka „głasnosi” (choć tak się ona wówczas nie nazywała, bo dopiero później wprowadził ją w ZSRR Michaił Gorbaczow) w dziale sportowym „Trybuna Ludu” straciłszy jakikolwiek ochronny parasol. Można było w różnych gazetach jeździć po nas jak po łysej kobyle.

W warszawskim hotelu, w którym zatrzymała się polska kadra piłkarska, umówiłem się na wywiad z Grzegorzem Latą. Zjawiłem się punktualnie przed drzwiami pokoju z notesem w rękę i delikatnie zastukałem. Ponieważ nikt się nie odzywał, zastukałem głośniejsze i nacisnąłem klamkę. Król strzelców mistrzostw świata w 1974 r. leżał na łóżku twarzą do ściany, a dupą do mnie, odwrócił głowę i krótko warknął: „Spierdalał!”.

Wycofałem się i czort wie, co mnie podkusiło, aby o tym incydencie wspomnieć w krótkiej notce na łamach, oczywiście nie używając słów „dupa” ani „spierdalał”, bo stronicie tak poważnej gazety spaliłyby się ze wstydu. Przecież także dzisiaj, choć świat niby poszedł naprzód, zarówno w „Gazecie Wyborczej”, jak i „Gazecie Polskiej”, jeśli już muszą, napiszą „d...” albo „sp...”, choć wszyscy ich czytelnicy znają te słowa i swobodnie posługują się nimi zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym.

Już nie pamiętam, jakie bzdury wypisałem w tych kilkunastu wierszach, ale musiało być o tym, że dziennikarz nie reprezentuje tylko siebie, ale rzesze swoich czytelników, którzy ciężką pracą zarabiają na to, żeby pan piłkarz mógł kopać futbolówki i wylegiwać się w eleganckim warszawskim hotelu. W redakcji nikt sportowych tekstów nie czytał, urzędujący na ul. Mysiej cenzor też nie miał nic do tego, bo nie zaatakowałem żadnej z wymienionych wyżej ważnych instytucji, toteż następnego dnia ludzie czytali, jak to Grzegorz Lato

lekceważąco potraktował przedstawiciela mas pracujących.

No i się zaczęło. Nie było chyba w kraju gazety, która nie wzięłaby na tapet krótkiej notki w „Trybunie Ludu”. Nieliczni trzymali moją stronę, większość – ponieważ można już było krytykować tekst w organie KC PZPR – nie zostawiła na mnie suchej nitki. Koledzy z pracy i znajomi znosili mi te wycinki i okazało się, że stałem się wdzięcznym tematem nawet felietonu w satyrycznym tygodniku „Szpilki”, pisano o mnie w poważnej „Kulturze”, a nawet w jakimś organie działkowców. Gdyby istniał wówczas internet, miałbym rekordową liczbę kliknięć i komentarzy, wśród których niewiele byłoby jednak polubień.

Stałem się ofiarą gierkowskiej „głasnosi”. Ale – z ręką na sercu – sam byłem sobie winny.

Wkładanie w usta

Większość wywiadów przeprowadzaliśmy w pośpiechu, wyszarpywaliśmy krótkie zdania z gardeł zmordowanych, spoconych sportowców, którzy właśnie ukończyli zawody. Taka była nasza robota, bo czytelnicy o niczym tak bardzo nie marzyli, jak o relacji samych zawodników. Marzący o złapaniu oddechu sportowcy odmawiali czasem nawet krótkiej rozmowy, trudno im się dziwić.

Jeśli chodzi o mnie, to zawsze starałem się wydobyc z choć kilka zdań, a później ewentualnie rozbudować nieco wypowiedź, żeby prezentowała się elegancko na łamach.

Niektórzy koledzy nie zadawali sobie nawet takiego trudu, zmyślali wszystko od pierwszego do ostatniego zdania, wychodząc z założenia, że nietrudno zgadnąć, co ma do powiedzenia zwycięski albo przegrany atleta.

Zabawną, ale też trochę niebezpieczną przygodę miał mój kolega dziennikarz po zakończeniu piłkarskiego meczu. Podeszedł do schodzącego z boiska zdyszanego słynnego napastnika i chciał mu zadać kilka pytań. Ten nie miał siły na pogawędkę, więc zwrócił się do kolegi z propozycją: „Jestem bardzo zmęczony. Niech pan, redaktorze, włoży mi coś w usta”. „Wolałbym tej pani” – rzucił bez namysłu kolega, wskazując na siedzącą na trybunach efektowną brunetkę. Gorzej nie mógł trafić, bo była to akurat żona piłkarza. Kolega musiał się salwować ucieczką i szybko wmszezać w tłum.

Nigdy nie zapomnę wywiadu, który przeprowadzałem ze słynną alpinistką Wandą Rutkiewicz w jej niedużym warszawskim mieszkaniu. Przygotowałem się do rozmowy dobrze, tym bardziej, że nie bardzo miałem pojęcie o alpinizmie. Ułożyłem sobie szczegółowy plan rozmowy, podczas której dowiedzieć się chciałem, po jaką cholerę ludzie wspinają się na szczyty, zwłaszcza że jest to tak bardzo niebezpieczne. Przygotowałem szereg argumentów, które obnażyć miały bezsens tego zajęcia.

Czy udało mi się cokolwiek powiedzieć? Ależ skąd. Wanda Rutkiewicz zaczęła opowiadać o swo-



ILUSTR. PAVEŁ FERENC

ich wyprawach w Himalaje, robiła to tak pięknie, że słuchałem jej z otwartymi ustami. Zapomniałem nie tylko o przygotowanych zaczepnych pytaniach, ale w ogóle o notowaniu słów tej fascynującej kobiety. Dosłownie chłonałem każde jej słowo, momentami wydawało mi się, że sam znajduję się wśród ośnieżonych, bezludnych gór i szykuję się do ataku na szczyt ośmiotysięcznika.

Wracałem tramwajem do domu oczarowany tragicznie zmarłą później (w 1992 r.) podczas wspinaczki na Kanczendzongę alpinistką i jej pięknymi słowami. Problem zaczął się dopiero w momencie, gdy zasiadłem przed maszyną do pisania. Na wałek wkręcona była kartka, biała jak szczyt jednego z czterestu ziemskich ośmiotysięczników, a ja nie mogłem nacisnąć pierwszego klawisza. W jaki sposób oddać słowa alpinistki i niesamowitą atmosferę, jaką roztaczała wokół siebie? Na pewno brakowało mi do tego talentu, a notatki nie pomagały, bo – jak wspominałem – w pewnym momencie przestałem je prowadzić.

Zadanie musiałem jednak wykonać. Wystukałem więc jakiś tekst i zaniósłem do redakcji. Oddawałem go z towarzyszącym mi do dziś poczuciem wstydu i przekonywałem, że był to chyba najgorszy wywiad ze sportowcem, jaki opublikowałem w gazecie.

„Maluchem” do Lubańskiego

Kibice zastanawiają się, czy Włodzimierz Lubański był lepszym piłkarzem, niż jest Robert Lewandowski. Moim zdaniem takie porównania są bez sensu, bo to różne epoki, inny futbol. Obaj są wielkimi postaciami polskiej piłki nożnej.

Opowiem teraz o wywiadzie, który przeprowadziłem z Włodzimierzem Lubańskim, już nie pamiętam dokładnie kiedy, ale na pewno w czasie, gdy był na szczycie swojej kariery.

Miałem wówczas nowiutkiego Fiata 126p, uwielbiałem tę zabawkę, więc na Śląsk pojechałem samochodem, a nie pociągiem, co wydawało się prostsze. Umówiony byłem na rozmowę z Włodzimierzem Lubańskim i już się na nią cieszyłem, bo wiedziałem, że jest on ciekawym rozmówcą, a tekst o najwybitniejszym naszym środkowym napastniku będzie z pewnością chętnie czytany. Tak też się stało, ale do wywiadu o mało nie doszło.

Już zbliżałem się do Zabrza, gdy wydarzyło się nieszczęście. Szosy były wówczas inne niż dzisiaj

i inne panowały na nich zasady. Z poprzedzającej mnie ciężarówki wypadły jakieś metalowe części, przejechałem po nich, i prędko zrozumiałem, że mam kaptia na dwóch kołach. Koło zapasowe miałem jedno, umiałem je błyskawicznie wymienić, bo polska motoryzacja edukowała technicznie kierowców, ale skąd wziąć drugie koło? Niezbędna była pomoc.

Zatrzymałem przejeżdżającą akurat taksówkę. Kierowca, potężne chłopisko, po spojrzeniu na moje warszawskie tablice rejestracyjne traktował mnie zrazu nieufnie, nawet opryskliwie. Po wysłuchaniu moich błagań, i tłumaczeniu, że jestem dziennikarzem sportowym umówionym na wywiad z Włodzimierzem Lubańskim, zmienił nastawienie. Pomógł we wszystkim, zawiózł uszkodzone koło do pobliskiego wulkanizatora, przy czym wyciągnął go z pobliskiej knajpy. Najbardziej zaimponował mi tym, że nie używał lewarka. Po prostu podnosił „malucha” do góry, a ja odkręcałem i przykręcałem koła. Oto co potrafiła uczynić popularność napastnika Górnika Zabrze i reprezentacji Polski.

Ludzie kochali pana Włodzimierza, śląski taksówkarz również. Wywiad odbył się jak należy, przejechałem na niego nieco spóźniony, ale rozmówca zaczął na mnie (Lubański to bardzo kulturalny człowiek) i po wysłuchaniu całej historii przystąpił do pracy. Wywiad był chwalebny zarówno przez kierownika redakcji, jak i czytelników. A przecież nie mogli wiedzieć jak niewiele brakowało, aby w ogóle się nie odbył.

Opisałem moje perypetie z przeprowadzaniem wywiadów. Ale nie zaliczyłem tak potężnej wpadki, jak redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego” Andrzej Jucewicz w czasie, gdy pracowałem w tej gazecie. Ukazał się mianowicie całonocny wywiad z prezesem Fińskiego Związku Piłki Nożnej panem Suomenem Palloliitto autorstwa Andrzeja Jucewicza. Problem w tym, że Suomen Palloliitto to nic innego, niż Fiński Związek Piłki Nożnej. Dziennikarz spisywał dane z otrzymanej wizytówki, a ponieważ język fiński jest bardzo specyficzny i trudny, doszło do nieporozumienia.

O ile pamiętam, żadnego sprostowania nie było i chyba nikt z czytelników tego nie zauważył, bo fiński nie był i nie jest w naszym kraju popularny.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

	SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ: Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny, Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny, Edyta Baker – sekretarz redakcji, Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor prowadzący, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).	WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o. ADRES redakcji i wydawcy: 00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9, tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68; tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58. DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38. INTERNET www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.	E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.	DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź, e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl Sprzedaż elektroniczna: www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl Numer zamknięto: str. 1–16 – 17.04.2024 r.
---	--	--	---	---

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

Marszałek Szymon Hołownia skończył się modlić, ale postanowił jeszcze chwilę pozostać na kolanach. W takiej pozycji zawsze lepiej mu się myślało.

Przypomnił sobie wyniki popularności. Partia, którą kierował, traciła, ale wciąż trzymała się niezłe. Co innego on. Gdyby wybory prezydenckie odbyły się dziś, to nie wszedłby do drugiej tury, jeśli do drugiej tury w ogóle doszło. Trzaskowski pobiliłby go na głowę, oby na jedną.

Czy był mniej przystojny niż prezydent Warszawy? Nawet jeśli, to niewiele mniej. Mówił za to więcej, ale czy za trajkotanie dostaje się punkty ujemne?

No dobrze, będzie się starał mówić mniej, a do każdego słowa przykładac odpowiednią wagę.

– Ty, Hołownia, myśl dobrze, a nie na kolanach – rozległ się aksamitny baryton. Coś między Piotrem Fronczewskim a Jarkiem Łukomskim.

Iluminacja! – pomyślał marszałek sejmu. Jak u świętego Augustyna!

– Kto ci powiedział, że ja powiedziałem, że skrobanki są złe? – zapytał niebiański Fronczewski, a może Łukomski.

– No... – odpowiedział ziemiański Hołownia. – Zabijanie jest złe.

Rozległ się pusty śmiech Pana Boga.

– No to ja zaprawdę ci powiadam, że kto się chce skrobać, niech się skrobie, a kto nie, to nie – oświadczył Wszzechmogący. – Jeśli tego nie pojmiesz, to prędzej papież przejdzie przez ucho igielne niż ty zostaniesz prezydentem.

– Ale dlaczego? – jęknął Hołownia, lecz nie doczekał się boskiej odpowiedzi.

• • •

Tak pokierował kalendarzem, żeby wieczorem natknąć się na wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza. Gadka szmatka, ale afera z tym Protasiewiczem, co?, no i dobrze, że wreszcie przyszła kasa z Unii Europejskiej, wyborcy to docenią, a z Koboską to prawda, że chciałby do europarlamentu?

– Kto się chce skrobać, niech się skrobie, a kto nie, to nie – rzekł nagle Hołownia.

Kosiniak-Kamysz najpierw postawił oczy w słup, potem otworzył usta, wreszcie potrząsnął głową i udał, że nic nie słyszał.

– Jeśli Kobosko... – zaczął, ale marszałek mu przerwał, powtarzając: – Kto się chce skrobać, niech się skrobie, a kto nie, to nie.

Kosiniak-Kamysz przypomniał sobie, jak całkiem niedawno klęczał i ktoś mu wówczas powiedział: – Zaprawdę ci powiadam, że kto się chce rozwodzić, niech się rozwodzi, a kto nie, to nie.

Teraz spojrzał na Hołownię i ujrział w nim brata w wierze.

PRZEMYŚLAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam,

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
zagląda z niecierpliwością
do skrzynki.

JOANNA SENYSZYN
puka się w głowę.

Wołk-Łaniewska: – A ty nie czekasz?

Senyszyn: – Niby na co?

– Na list od ministra Bodnara.

– W sprawie?

– Pegasusa. Że cię podsłuchiwa-
li, znaczy.

– A ty czekasz?

– No trochę tak, muszę się przyznać. Wiesz: tak jak się czeka na telefon od mężczyzny, co to tak naprawdę wiesz, że cię nie chce, ale jednak po cichutku nie tracisz nadziei...

– Nie wiem, nigdy nie byłam w takiej sytuacji... I po cholere ci to?

– Poczulałabym się ważna i dostrzeżona...

– Twoje poczucie własnej wartości urosłoby, gdybyś znalazła się w jednym szeregu z Breją i Napieralskim?

– No, jak tak to stawiasz, to rzeczywiście... Napieralski mnie rozczulił zresztą. „Czuję się strasznie, czuję się bardzo złe, czuję się obdarty z, tak naprawdę, największych moich wartości, moich praw” – szlochał do kamer.

– Tego na szczęście nie słyszałam, ale pamiętam, jak Krzysztof Janik płakał rzewnymi łzami, kiedy w 2004 przegrał z Oleksym wybory na szefa SLD.

– Jacys płacząli ci liderzy lewic...

– Swoją drogą, ciekawe, jakich największych wartości pozbawił Napieralskiego Pegasus?

– Zważywszy, że facet przeszedł z lewicowej partii, w której był szefem, do liberalno-konserwatywnej, gdzie nosi halabardę w tłumie, wartości się go jakoś nie trzymają. Ale wydoi tę swoją krzywdę do ostatniej kropli, bo tak na moje oko, to jest zajeżdżenie dumny, że ktoś go uznał za godnego podsłuchiwanie systemem za 25 baniek. Był kandydatem na prezydenta, miał trzeci wynik w Polsce, a teraz kto pamięta, że istnieje? Nikt, z wyjątkiem służb pisowskich.

– I ty też byś chciała?

– A jak. W końcu jestem wbrew obronności kraju, jak mawiał jeden major od przysposobienia wojskowego w latach 70. na UW. Uważam, że wydatki na zbrojenia są głupie i szkodliwe społecznie. I jeszcze że każda wojna kończy się przy stole rokowań, więc czemu nie prześczyć walczenia i od razu zasiąść do negocjacji. I nie tylko uważam, ale też piszę. To chyba zasłużyłam na odrobinę uwagi, nie? Ja rozumiem, że wśród trzydziestki się nie znalazłam, ale jak to jest już pół tysiąca inwigilowanych, to może...

– Może to ja bym była w kolejce przed tobą. W końcu to nie twoje, ale moje pisanie tak podnieciło Ordo Iuris, że oskarżyli mnie o obrażę Narodu Polskiego i Rzeczypospolitej. Rodziny wyklętych i miłośnicy JP2 też mnie ciągną po sądach, bo w Polsce najbardziej obraża prawdę. A że ci wszyscy obrażeni są zwolnieni z kosztów sądowych, to się za darmo pieniączą i żądają grubej forsy. Zwykły obywatel musi słono płacić.

– No dobra, ja ci nie żałuję, możesz być przede mną, jako wróg Narodu i Ojczyzny. Ale ja też chcę! A zmieniając temat: tak mi było żal prezydenta Dudy, jak prezydent Čaputová dała mu kosza na konferencji prasowej...

– Chyba mi coś umknęło.

– Čaputová, ustępująca prezydent Słowacji, przyjechała się pożegnać. A niewiasta jest dorodna, z burzą blond loków i cymem jak się patrzy, nie taka chuda szkita jak niektóre krakowianki. I Pan Prezydent nie ukrywał zachwyty. „Dzisiaj śmiało mogę mówić, że jestem także przyjacielem pani prezydent, wierzę w to głęboko, że te przyjacielskie więzi będziemy

z których obie żyją



utrzymywali, jak wróć z Pałacu Prezydenckiego do mojego rodzinnego Krakowa, blisko granicy słowackiej. Mam nadzieję, że będziemy się spotykali i w Polsce, i w Małopolsce, i na Słowacji” – tokował Duda. I jeszcze nadmienić z rozmarzonym uśmiechem, że „zwłaszcza niezwykle miło będę zawsze wspominał naszą wspólną kawę w ogrodach prezydenckich w pewien letni poranek”...

– A ona co na to?

– Nic, zła kobieta. „Nigdy nie zapomnę jednego z tych formatów, o których pan prezydent wspominał, B9”.

– Myślisz, że Bukaresztańska Dziewiątka nie budzi u niej romantycznych skojarzeń?

– Boję się, że nie. Potem jej się chyba Andrzeja żal zrobiło, bo dodała: „Jak przyjadę do Krakowa, z przyjemnością się do pana odezwę, kiedy przestanie pan już pełnić swój urząd”. Ale to było tak trochę z litości. Nie obiecuj, jak nie masz zamiaru dotrzymać, bezdusza niewiasto, bo chłop będzie siedział przy telefonie...

– Jak skończy kadencję i tak nie będzie miał co robić, to przynajmniej posiedzi. Jak dobrze pójdzie, może nie tylko przy telefonie, choć w jego przypadku to poza Trybunałem Stanu i dozgonną nudą raczej nic mu nie grozi. Chyba, że coś uprosi u Trumpa, a ten zostanie prezydentem (tfu, tfu, odpukać) i nie zapomni o przedwyborczym hołdzie głowy z dalekiego kraju.

– Może chce mu przypomnieć, że Fort Trump mieli razem budować... John Bolton, który przez chwilę był u Trumpa doradcą ds bezpieczeństwa, napisał w swojej książce o Białym Domu, że Donald zapomniał, że obiecał Andrzejowi bazę.

– Bardziej prawdopodobne, że Duda tak polubił spotkania z prześciami Kamińskim i Wąsikiem, że teraz chce mieć do kolekcji z Trumpem, na którym ciążyą zarzuty karne. To się zresztą przekłada na sondaże: Biden zaczął odrabiać straty. Trump prowadzi już tylko 46:45 proc., czyli różnica jest w granicach błędu statystycznego. Pewnie zdecydują niezdecydowani.

– U nas z tych zdecydowanych jesienią, na wiosnę co czwarty został w domu.

– To syndrom zmęczenia wiosennego, opisany w medycynie jako niegroźny, ale uciążliwy.

– Niegroźny – jak dla kogo. Dużo osób umiera. Staniszkis, Mikołajko...

– Czy zauważyłaś, że o niej było w mediach bardzo dużo, a o nim...

– Owszem. I dlatego chciałam oddać hołd prof. Mikołajce i jego genialnemu esejowi, który sięgnął do głębi mojej duszy: „Wózkowe – wojowniczy, dziki i ekspansywny segment polskiego macierzyństwa. Macierzyństwa w natarciu, zawsze stadnego i rozwielnionego nad miarę. Pieszczącego w sobie poczucie wybraństwa i beczelnie niegodzącego się na żadne ograniczenia”... Będzie mi Mikołajki bardzo brakowało.

– A mnie Staniszkis. O Dudzie mówiła: „Sama go wspierałam w wyborach, wciskałam ludziom, że będzie dobrym prezydentem, a teraz czuję się odpowiedzialna za to, co się dzieje. Nie lubię ludzi płytkich i zadowolonych z siebie, a Andrzej Duda właśnie taki jest”.

– Ja tam wolę Mikołajkę o wózkowych: „To ich durne puszenie się świeżym macierzyństwem, które uczyniło z nich – przynajmniej we własnym mniemaniu – królowe bału. Patrząc więc, jak to idą i gdczą”...

– Przebijam Staniszkisa o Dudzie: „Nie mogę znieść, jak on zaczyna głądzić na stoku narciarskim, ubrany w kombinezon. Widać, że lubi narty i lubi perorować. Niestety, w takiej dekoracji widać też, jak banalne są jego konstatacje. Powinien zostać instruktorem narciarskim, a nie prezydentem”.

– Wiesz, że ja jestem taka stara, że na pierwszym roku dziennikarstwa chodziłam do Staniszkisa na wykłady? Pamiętam, że ubierała się od stóp do głów w skórę i wydawało mi się, że w jej wieku to nie wypada... Była o cztery lata młodsza niż ja teraz.

– Nie martw się, nie jesteś starsza od Czarzastego, który lansuje się na starym zdjęciu z młodą Staniszkis.

– Taki jest śliczny na tym zdjęciu, kudłaty i wąsaty, z zawadiackim błyskiem w oku. A teraz? Co to polityka robi z ludzi...

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 295



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI